

# Przez ciernie żywota



FERDYNAND KURAS

## *Przez ciernie żywota*

*Dostojnemu Obywatelowi  
Stanisławowi Wojciechowskiemu  
Prezydentowi  
Odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej*

*skromną tę pracę, niewprawną  
ręką wieśniaka skreśloną,  
w hołdzie poświęca  
Autor*

### PRZEDMOWA

Opisy życia ludu, o ile ujawniły się w literaturze, bywają zazwyczaj dziełem osób pochodzących z warstw zwanych wyższymi, czy górnymi. Powodowani litością, współczuciem, podnieceni przez ideał dźwigania warstw zwanych niższymi, zdobycia siłą, czego na mocy dobrowolnych ustępstw osiągnąć nie można, artyści, szukający barwy lokalnej i istoty życia, pisarze wszelkiego typu, czerpiący tematy do swych utworów z życia masy pracującej notują w gruncie rzeczy wspomnienia swe albo twórczo malują na tym tle tak rozległym, wymyślając z głowy świat do ludowego podobny. Te opisy, nieraz barwne epepeje, tworzone w niby gwarze prowincjonalnej, pisane przez ludzi dostatniej sfery, tworzone w zamożności i spokoju, rzadko kiedy odzwierciedlają żywot istotny synów i córek ziemi, nieraz zaś są śmieszną reporterką i przedrzeźnianiem.

Zdarzają się i twory pocziwe, ale niezdarne i do niczego niepodobne. Język ich nie jest starą, pradawną, a przecież zmienną mową pracy, a sceny życia, gdyby nawet były podobne do istotnych, są ugrupowane w sposób obmyślony na zimno, wymądrkowany dla jakiegoś celu, tendencyjny. Nagromadza się zjawiska jaskrawe, celowo dobrane albo wydobyte z wyobraźni, ażeby czyniły zadość społecznemu czy literackiemu założeniu z góry. Rzadko się zdarza, gdyż nad wyraz trudno może się zdarzyć, ażeby ktoś z ludu przemówił, to znaczy, żeby sam lud przemówił o sobie.

Taki rzadki wyjątek, a może nawet unikat, stanowi pismo Ferdynanda Kurasia pod tytułem *Przez ciernie żywota*. Mamy tutaj w formie jasnej, prostej, bez uciekania się do niby gwary, w postaci nieobarczonej zamiarem estetyczno-twórczym, podane życie samo w sobie. Czytając te stronicę, ma się wrażenie, iż odsłania się ze mgły i pomroki sama najrdzenniejsza iścizna<sup>1</sup> życia ludowego, iż nakreślony został ręką niewprawną i przez to może genialną, jego symbol.

Nie podaje nam tu swego referatu ani dzieła spostrzegacz, reporter, misjonarz do sfery dzikusów, lub poeta, szukający tutaj natchnienia, lecz z cicha mówi o sobie sam obiekt, sam murzyn polski, bytujący z prawieków obok nas, dokoła oparcia naszej stopy. Gdyby czarna ospa albo szkarlatyna jąła przemawiać o sobie i odsłaniać dzieje swego bytu, ukazywać drogi swego pochodu po niewiadomych szlakach rozwoju, doznawalibyśmy tego wrażenia, co przy czytaniu pisma Ferdynanda Kurasia. To porównanie może kogoś urazić, jako nieścisle, a nawet przesadne. A jednak tak jest w istocie.

Życie opisanie tutaj tak dalece odskakuje od normalnego porządku rzeczy, od życia ludzi cywilizowanych w ogóle, od wszystkiego, co jest sprawiedliwością i miłosierdziem,

<sup>1</sup>iścizna (daw.) — istota, najważniejszy element. [przypis edytorski]

iż tylko do ciężkiej, ohydnej, przeklętej choroby może być przyrównane. A przecież ten pisarz życia ludu nigdzie się nie uskarża, nie pomstuje, nie wzywa na pomoc. Jego powieść jest spokojna nawet tam, gdzie maluje najstraszliwsze sceny ciemnoty, w poradni znachora-pijanicy, który ma uleczyć głuchotę, pod cudotwórczym krzyżem obok Bychawy, gdzie nieszczęsne matki wykopywały dolki w ziemi, kładły w te dolki głowy swych chorych dzieci i przysypywały je ziemią, ażeby je z nieuleczalnych kalectw wybawić. Nigdzie on nie staje w pozycji wyzywającej, nawet wtedy, gdy maluje dantejski obraz, gdy trzech chłopcy-niedorosłki wstępują do ledwie wystygłego kotła w cukrowni, ażeby go obtłuć z osadu, z zarazy, którą wchłaniają płucami. Przedstawia nam straszliwe mieszkania robotników (cztery rodziny w jednej izbie, uciekające przed zgnilizną i wilgocią na pewien rodzaj mieszkań nawodnych), a gdy przed tym opisem zakrywamy oczy, gdyż zaprawdę lisy mają stokroć mądrzej i lepiej urządzone nory, a zajęte zdrowsze i wygodniejsze kotłiny niż ci z pożytkiem powszechnym pracujący ludzie, on bawi nas anegdotycznie wspomnieniem przygody, którą mu te mieszkania troglodytów<sup>2</sup> w pamięci zostawiły. Znajduje urok w przyrodzie, widzi go, kocha i wspomina, ale nas czczymi opisami nie napawa i nie nudzi. Dostrzega urok lasu, pola, wielkiej rzeki jak gdyby chyłkiem, wśród potwornej pracy, z nieobaczka<sup>3</sup> pochwycony i zapamiętany.

Przy rąbaniu pni dębowych z płacą dzienną 10 kopiejek (o, losie straszny i przeklęty! dziesięć kopiejek za dzień ciężkiej pracy) urok lasu pustego, niemego, zastygłego w śniegach widzi i odtwarza tak doskonale, iż ten urok i nam się udziela z jego łaski. Maluje przy tym głód pracujących, gdy każdą grudkę i każdą krupkę kaszy gotującej się w garnku na węglach pożerali naprzód oczyma, a później zgłodniałymi ustami<sup>4</sup> i wnętrznościami. Maluje zaś nie dla jakowegoś celu, tylko z uśmiechem wspomnienia tamtej chwili, maluje dla samego malarstwa, z potrzeby wewnętrznej, jako prawy i dostoyny odtwórca wszystkiego, co na to zasługuje.

Nie wymawia ani jednym słowem wielkiemu panu, odzianemu w śliczny strój dołów, gdy go ów pan z lasu przepędzał, skoro z bratem niedorosłym suche patyczki na ogień zbierali. Nie dobywa słów przeraźliwych, gdy biedny ojciec tłukł głową o ścianę, patrząc na syna zmarłego z czarnej ospy, i gdy tego syna całował w usta. Nie podnosi głosu nigdy. Raz jedyny, gdy go poraził cios najokrutniejszy — utrata słuchu — wskutek nieszczęśliwej przygody uderzenia wrótnią w głowę, rozwiązuje się jego język dla pożegnania się ze światem szmerów, szelestu drzew, głosów przyrody i śpiewu ptaków. Wtedy dostrzegamy, jak głębokim jest poeta. Nie mogę powstrzymać się, ażeby tego pożegnania tutaj nie przytoczyć, jest to bowiem wysokiej piękności hymn o rozkoszy słuchu i jedyne pewnie w literaturze świata pożegnanie się z dźwiękiem.

„Żegnaj, świergocie przywiązanych do strzechy wioskowej wróblích gromadek i ty, lotnych jaskółek szczebiocie u poddasza.

Żegnaj, cudowny hymnie szarego skowronka, zawieszzonego w wiosenne poranki nad budzącą się z letargu zimowego ziemią.

Żegnajcie, rzewne słowików trele, zamieniające w przybytek aniołów ciszę wonnych wieczorów wiosennych.

Żegnajcie, wy, polnych świerszczów ćwierkania wśród tchnących aromatem pól w jasne letnie dzionki, i ty, czarowna żabich chórów kapelo w przednocki majowe.

Żegnajcie, szmery wód i poszumy pól.

Żegnajcie, kochane dźwięki serdecznych słów matki, ojca i braci. Wdzięczna melodio pastuszej ligawki<sup>5</sup>, srebrzysty głosie dzwonka, krówek poryki, koników rzenie, żegnajcie, żegnajcie...”

Najpiękniejsze jednak w tym dziełku są opisy podróży, podróży proletariackich, odbywanych najętym wozem, po bocznych polskich drogach do celów nijakich, do nadziei

<sup>2</sup>troglodyta — człowiek z epoki przedhistorycznej, mieszkający w jaskini, człowiek pierwotny. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>z nieobaczka (starop.) — zniacka, niespodziewanie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>z głodniałymi usty (daw.) — dziś: zgłodniałymi ustami. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>ligawka — ludowy instrument dęty w formie rogu, zrobiony z dwu złączonych połówek uprzednio przeciętego wzdłuż i wydrążonego kawałka drzewa. [przypis edytorski]

znalezienia miejsca pobytu, punktu oparcia, zaczepienia się o jakąś pracę, osiągnięcia kąta mieszkalnego. Autor nasz z tych to podróży podaje tysiące szczegółów, które wtedy ujrzał i na zawsze zapamiętał. A czyni to w sposób tak prosty i, że tak powiem, dobry, iż sami stajemy się na nowo rozciekawionymi dziećmi, które tą oto wynajętą furmanką w „świat szeroki” jadą. Kędyś przyjmują nas w gościnę, serdecznie zapraszają na nocleg tacy sami, jak my, biedacy i pracownicy, nocleg pospólny w zadymionej i dusznej izbie. Ale widzimy wokoło siebie twarze pocziwe, poorane, spalone na skwarze i posieczone od ulew i chłódów, podeptane przez troskę wieczystą.

Obcujemy z dawno zgasłymi ludźmi, którzy na widok dzieci otwierają ramiona, zdejmują z twarzy troskę i bojaźń o jutrzejsze jadlo i wystawiają ubogi poczęstunek. Prości polscy ludzie, fornale<sup>6</sup>, zarobnicy<sup>7</sup>, drwale, drobni kramarze, rzemieślnicy i robotnicy ukazują nam się z tych kartek w ich prawdzie i istocie. Przemawiają oto do nas dawne, dziwne religijne obyczaje, które czas idący wytracił, przepraszania w imieniu zmarłego nędzarza przez mówcę pogrzebowego ziemi czarnej za to, iż ją deptał, wody zimnej za to, iż ją pił...

Pijemy czarną i zimną poezję polskiego ludu.

Cała ta epopeja małorolnego nędzarza, pełna ludzi tak plastycznie i wiernie przedstawionych, iż znamy ich odtąd i jesteśmy ich przyjaciółmi, choć tak bezmiernie są ubodzy i dalecy, pisana jest ślicznym, przeczystym, naturalnym językiem. Ani jednej zadry, ani jednego fałszu, ani jednej błagi lub przesady!

Książka w początkowej swojej większości, do chwili kiedy jej autor zostaje uznanym poetą ludowym, doznającym zasłużonych odznaczeń, jest arcydziełem literackim, czymś nowym, nieznanym, odkrywczym. Druga część końcowa jest już tylko osobistą historią, pamiętnikiem przeżyć, przygód, zmian pozycji socjalnej, wizyt, wyjazdów i wycieczek, i właściwie nie ma już związku z częścią pierwszą. Przygody, odmalowane w części pierwszej, czyta się jednym tchem, choć to jest pospolity sumariusz wędrówek za chlebem, zarobkiem i legowiskiem pewnej proletariackiej rodziny. Jest to odsłonięty rąbek groźnego obrazu, bolesnej krainy ubogich, na którym każdy ruch stopy ich na cierń natrafia i krew na śladach swoich pozostawia.

Warto przeczytać tę książkę. Warto dać ją do czytania, zamiast bzdurstw i bajd, dzieciom szczęśliwym tej ziemi, które nie przypuszczają, nie wiedzą, nie słyszały i nie widziały w najsmutniejszym śnie, jak tuż obok nich cierpią straszliwie rodzeni ich bracia i rodzone siostry.

*Stefan Żeromski.*

## OD AUTORA

Serdeczny przyjaciel mój, Jan Słomka młodszy<sup>8</sup>, najpierwszy z tych, którzy starali się wprowadzić mnie na udeptane ścieżki literackiej pracy chłopskiej, słuchając moich dorywczych opowiadań o przebytych kolejach swego życia, ja<sup>9</sup> mnie namawiać do spisania tych przeżyć.

Ociągałem się długo. Bo na co to wszystko? Wszak życie moje ze swymi przejściami, wypadkami to jedna kropla z tego morza martyrologii ludu polskiego. Są to zdarzenia tak codzienne, tak pospolite i od wieków znane, że zdawało mi się, iż u nikogo chyba szerszego zainteresowania nie wzbudzą.

Ale skoro namowy przyjaciela mego przybrały z czasem charakter nalegania, uległem w końcu i na krótko przed wybuchem wielkiej wojny<sup>10</sup> zabrałem się do pisania,

<sup>6</sup>formal — najemny robotnik rolny obsługujący konie w folwarku. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>zarobnik (daw.) — człowiek wynajmujący się do pracy dla zarobku (niemający wystarczająco wiele własnej ziemi, żeby się wyżywić i utrzymać). [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Jan Słomka młodszy — syn wójta Dzikowa Jana Słomki (1842–1932), absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, nauczyciel gimnazjalny; przygotował do druku napisane przez ojca *Pamiętniki włościanina* (1912; wyd. 2 1929). [przypis edytorski]

<sup>9</sup>jąć (daw., gw.) — zacząć; zabrać się do czegoś. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>wielka wojna — określenie I wojny światowej (1914–1918) używane powszechnie w okresie międzywojennym, przed wybuchem II wojny światowej. [przypis edytorski]

podzielając słuszne zresztą zapatrywania jego, że praca niniejsza przydać się kiedyś może zawodowym biografom, niejednego zaś z hojniej przez naturę uposażonych spółbraci pobudzi do spisania bardziej interesujących przeżyć, a to już by coś znaczyło.

W dziełku niniejszym opisałem jedynie osobiste przeżycia, spostrzeżenia i wrażenia. Daleko mojej książeczce do tych ślicznych *Pamiętników włościanina* sędziwego wójta Jana Słomki<sup>11</sup>, traktujących wszechstronnie wszystkie przejawy wsi naszej; daleko jej również do tych barw i potoczności języka, jakimi odznacza się pióro szanownego senatora Jakuba Bojki<sup>12</sup>. Wszystko w niej szare, tak jak dola życia jej autora.

Wychodząc z założenia, że niedomówienia, domyślniki, fałszywy wstyd przed tym, czego się wstydić nie należy, nie odtworzyłyby wiernie całości obrazu, pisałem wszystko bez obłonek. Zresztą będąc samoukiem, nie posiadam wyrobionej techniki pisarskiej i tym samym nie potrafię osłaniać drastyczniejszych szczegółów parawanem literackiego stylu.

Jeżeli więc komuś z bliskich sercu memu wyjaskrawieniem faktów sprawiłem przykrość — serdecznie go z tego miejsca przepraszam.

Dalszy ciąg opowiadania ukaże się, jak Bóg da, w swoim czasie.

F. K.

## I

*Rys genealogiczny. Charakterystyka ówczesnych ludzi. „Lejek” i sobótki. Wójt Walenty Madej.*

Urodziłem się w roku 1871, jako trzecie z rzędu dziecko, a drugi syn ubogich zarobników<sup>13</sup>. Z rodzeństwa mego trzech braci i dwie siostry zmarły w dzieciństwie, najstarszy zaś brat, Jan, rozstał się z światem w 21 roku życia. Pozostało nas jeszcze trzech braci, między którymi ja jestem najstarszy.

Cały majątek mych rodziców wynosił zaledwie jedną czwartą część morgi<sup>14</sup>, poza tym nic więcej. Byli bezdomni. Ojciec posiadał niepoślednie wykszolenie i spory zasób wiedzy, mógł zatem przy silnej woli pozyskać jako takie stanowisko i stworzyć rodzinie byt znośny. Niestety, ojca trapiła do końca jego życia ciężka choroba, objawiająca się periodycznie nieprzepartym pociąganiem do napojów wysokokowych. Stąd to tak życie ojca, jak matki i dzieci było jednym pasmem udręczeń, o których jednak dla łatwo zrozumiałych powodów wspominać tu nie będę. Wystarczy powiedzieć, że w domu panowała wielka bieda, a łaskawy czytelnik mnie zrozumie.

Ojciec przechodził rozmaite koleje, różnych imiał się zawodów i zajęć, na żadnym z nich jednak (co w podobnych wypadkach jest rzeczą naturalną) długo ostać się nie mógł.

Matka posiadała wykszolenie tylko o tyle, że mogła się z książki pomodlić. Była niepiśmienną. Życie jej było jednym ciągiem ciężkiej pracy fizycznej, której wydajność w trudnych życia terminach<sup>15</sup> wystarczała ledwie na uchronienie dzieci od śmierci głodowej.

Chcąc dać jakieś pojęcie niedostatku w domu rodziców panującego, przytoczę choćby jeden przykład. Kiedy liczyłem 4 do 5 lat życia, w pewien jesienny wieczór przytulony do matki, trzymającej na łonie młodszego brata Franciszka, siedziałem przy kominie, na którym płonęły smolne szczapy. Kominiek taki, zwany „świeczakiem”, posiadała

Bieda, Pijaństwo

Bieda

<sup>11</sup> *Słomka, Jan* (1842–1932) — wójt galicyjskiej wsi Dzików, autor jednego z pierwszych pamiętników chłopskich: *Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do czasów dzisiejszych* (1912), który zyskał sobie znaczącą popularność w kraju i wśród emigrantów. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *Bojko, Jakub* (1857–1943) — działacz ludowy, publicysta i pisarz pochodzenia chłopskiego; jeden z pionierów ruchu ludowego w Galicji, współtwórca Stronnictwa Ludowego w Galicji, poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa, w II RP poseł na Sejm Ustawodawczy, wicemarszałek senatu I i III kadencji; wójt Gręboszowa, autor wierszy, opowiadań i wspomnień. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *zarobnik* (daw.) — człowiek wynajmujący się do pracy dla zarobku (niemający wystarczająco wiele własnej ziemi, żeby się wyżywić i utrzymać). [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *morga* a. *mórg* — dawna miara powierzchni gruntu, nieco ponad 0,5 ha. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *termin* (daw.) — ciężkie chwile, tarapaty. [przypis edytorski]

wówczas każda na wsi chata, a zastępował on lampę. Na kominku owym przystawiła matka do ognia garnek, w którym gotować się miały na wieczerzę ziemniaki. Byliśmy bardzo głodni, toteż wzrok miałem wlepiony w ów garnek, niecierpliwie oczekując, rychłoli<sup>16</sup> matusia tę tyle pożądaną wieczerzę na misce poda. Niestety, godziny upływały, a ziemniaki jeszcze się nie gotowały, aż nareszcie znużeni i wyczerpani posnęliśmy na kolanach matki. Wtedy matka ostrożnie a cichutko przeniosła nas śpiących na łóżka i otuliwszy, ogień na kominku zgasła. W garnku owym prócz wody nie było nic, brakło bowiem w domu nawet ziemniaka, uciekła się przeto matka do podstępu, byle dzieciom płaczu oszczędzić.

W ostateczności tylko udawała się matka do rodziców swych albo też rodziców ojca, od których otrzymywała jaką taką parudniową zapomogę w żywności.

Dziadkowie moi — tak ojca, jako też matki rodzice — byli to ludzie prawi, pobożni, trzeźwi, cieszący się ogólnym szacunkiem. Rodzice ojca, Łukasz i Agnieszka z Ziółów, mieszkali w Wielowsi na tak zwanej Kępie, małym przysiółku, okolonym zarosłymi szuwarem wodami, szczątkami starego łożyska Wisły, i posiadali tam coś 6 morgów, w połowie żyznej pszenicznej ziemi, w połowie zaś wody i łąki. Dochowali się trzech synów, z których najstarszym był Jan, ojciec mój, średni Walenty, dotychczas na ojcowiznie osiadły, i najmłodszy Franciszek, który zostawszy ogrodnikiem, powędrował w kraj i stał z dala od stron rodzinnych przebywa.

Matki zaś mojej rodzice, Mateusz i Helena z Chajów Motykowie, mieszkali w Sobowie, gdzie posiadali trzy morgi gruntu i plac z zabudowaniami w środku wsi. Mieli cztery córki, mianowicie najstarszą Marię — matkę moją, Gertrudę, Agnieszkę i Annę. Gertruda wyszła za Józefa Ordyka w Dzikowie, Agnieszka za Szczepana Szczytyńskiego w Miechocinie, najmłodsza zaś Anna wydała się za Karola Cąpałę z Sokolnik i pozostała na ojcowiznie w Sobowie.

Dziadek Łukasz chłopem był piśmiennym, babka Agnieszka umiała czytać, obcą jej jednak była sztuka pisania. Rodzice matki byli analfabetami.

Na wyróżnienie zasługuje szczególnie babka Agnieszka. Była to niewiasta o wzniosłych zaletach duszy, uczynna i miłosierna, jedna z tych, o której Duch Św. w *Księdze Przypowieści* mówi: „Niewiastę mężną któż znajdzie? Daleko i od ostatecznych granic cenna jej. Omylna wdzięczność i marna jest piękność, niewiasta bojąca się Boga, ta będzie chwalona”<sup>17</sup>. Nikt nigdy nie usłyszał z ust jej przykrego słowa; nikt nigdy nie dostrzegł najlżejszego przebłysku gniewu na jej obliczu. Zawsze i dla każdego miała dobre słowo i słodycz twarzy. Nikt z ubogich nie wyszedł z domu jej z próżnymi rękami. Zbierając się do kościoła, zaopatrywała się (zazwyczaj po kryjomu przed dziadkiem) w kromki chleba, jabłka i gruszki, węzełki krup, jagieł, ziarna itp. rzeczy. Chleb i owoce rozdawała po drodze biednym dzieciom, które zawsze na jej spotkanie gromadnie na drogę wybiegały; przestąpiwszy zaś progi kościoła, szła prosto między ubogie, którym znów węzełki w ręce wtykała.

W owych czasach najemnicy otrzymywali za swą pracę u gospodarzy w czas przednówkowy<sup>18</sup> wynagrodzenie przeważnie w naturze, które wynosiło na dniówkę i litr pszenicy czy innego ziarna — bez wikt; w czasie zaś żniw płacono 25 „krajcarów”<sup>19</sup>. Ten sposób wynagradzania najemników przyjęty był także u dziadka. Babka jednak wynagradzanie takie uważała za niewystarczające, toteż po kryjomu przed dziadkiem donosiła najemnikom żywność w pole lub wprost do domów.

Gdy niemoc powaliła ją na łożo cierpień, sprowadzał dziadek do chorej miejscowe siostry dominikanki, którymi ludność całej parafii we wszelkich chorobach zazwyczaj się posługiwała. Pomoc tychże sióstr polegała na postawieniu chorej baniek i podaniu do zażycia pewnych leków, z ziół polnych przyrządzonych. Pamiętam doskonale, jak siostry, ostatnim razem wychodząc od babki, tak do niej się odezwały: „Nie smućcie się, Kuraśko,

Kobieta

Choroba, Śmierć

<sup>16</sup>rychłoli — konstrukcja z partykułą pytajną -li; znaczenie: czy rychło, czy wkrótce. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Niewiastę mężną któż znajdzie? (...) Omylna wdzięczność i marna jest piękność... — Prz 31, 10 i 30. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>przednówek — czas przed nowymi zbiorami na roli, okres głodu na przedwiosniu i wiosną, kiedy kończą się zapasy jedzenia dla ludzi i paszy dla bydła. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>krajcar a. grajcar — obiegowa moneta austriacka; gulden, czyli złoty reński, od 1857 dzielił się na 100 nowych krajcarów, oficjalnie zwanych centami, wcześniej na 60 krajcarów. [przypis edytorski]

jeszcze będziecie hulać”. Niestety, chora czuła się coraz gorzej; cierpienia swoje znosiła jednak w milczeniu, z zupełnym poddaniem się woli Bożej. Przed samym skonaniem zwróciła się do służącej ze słowami: „Jagna, podlej kwiatki” — i w chwilę potem, w dniu 16 czerwca 1877 r. po pięćdziesięciu czterech latach zbożnego życia odeszła w krainę wiecznej szczęśliwości po zasłużoną nagrodę z rąk Stwórcy, a śmierci jej towarzyszył żal ogólny.

Dobrocią i uczynnością odznaczał się także dziadek Mateusz, ojciec matki. Szczególnie wnuków swych, między którymi ja pierwsze w jego względach miałem miejsce, wprost bezprzykładnie miłował. Toteż gdy w dniu śmierci matka moja rzuciła mu pytanie: „Tatusiu, żal wam mnie?” — odpowiedział: „Ej, ciebie mi nie żal, tylko dzieci (wnuków) mi żal”. Zmarł 22 kwietnia 1877 r. w 66 roku życia.

Aż do śmierci babki przebywałem w porze letniej najchętniej na Kępie w domu dziadków, gdzie też przebywał stale brat Jan, którego tam zajęciem było pasanie krów na pobliskim pastwisku. Czas mi upływał na uganianiu pośród pól i łąk, na swawoleniu z rówieśnikami wśród wysokich szuwarów w wyschniętych miejscami dawnym łożysku Wisły i na płoszeniu błotnego ptactwa, którego tam wówczas znajdowały się niezliczone ilości.

Lubiłem bardzo te pola na Kępie, którym z pobliskiego wzgórza za Wisłą króluje starożytny Sandomierz z sześcioma kościołami. Z wież tych kościołów każdorazowe bicie dzwonów dźwięcznym na drugą stronę Wisły płynęło echem. Był wówczas, ponoś<sup>20</sup> na wieży katedry umieszczony, wielki zegar, odznaczający się donośnym a miłym dla ucha wydzwaniem godzin, które na Kępie doskonale słyszeć się dało. W te dźwięki dzwonów sandomierskich, a szczególnie zegara, rad<sup>21</sup> się wsłuchiwałem. Już wówczas mimowiednie odczuwałem, że w dźwiękach tych przemawia do nas daleka jakaś niepojęta, wielka, nimbem świętości otoczona *Przeszłość*. Nawet obecnie, jeśli kiedy stanę na tych polach i wzrok skieruję na sandomierskie, w blaskach słońca kąpiące się mury, a myśl cofnę w minione lata, zdaje mi się, że słyszę na jawie uroczyste głosy dzwonów i poważne bicie zegara.

Błogie chwile dzieciństwa mego skończyły się wraz ze śmiercią babki Agnieszki. A choć na Kępie został mi jeszcze dziadek, mało już kiedy tam zaglądałem. Brakło serca i ciepła.

Odtąd chowałem się w domu przy rodzicach w Sobowie, gdzie ojciec z małymi od czasu do czasu przerwami spełniał czynności pisarza gminnego i równocześnie nauczyciela w miejscowej szkółce ludowej. Za spełnianie tych obowiązków pobierał tytułem wynagrodzenia: za nauczanie 40 reńskich<sup>22</sup> i 10 korcy<sup>23</sup> ziarna, za pisarkę zaś 70 reńskich rocznie. O ile ojciec był przy zdrowiu, wszystko szło jakoś, natomiast z chwilą powrotu jego choroby w domu naszym rozpanoszała się nędza.

Przy normalnym stanie zdrowia ojca było w naszym domu nieraz nawet wesoło. Bo, że to ojciec odznaczał się otwartą naturą i ciętym dowcipem i umiał opowiadać różne historie, schodzili się radzi do naszego mieszkania — składającego się z jednej tylko izby mieszkalnej — liczni sąsiedzi, już to ażeby coś usłyszeć, już też na pogadanki sąsiedzkie. Każdy gość był u nas mile widziany. Dla odwiedzających nas sąsiadów ojciec nakazywał nam, dzieciom, najwyższy szacunek. Skoro więc ktoś próg naszego mieszkania przestąpił, zawsze musieliśmy iść ku niemu i, choćby to był najchudobniejszy<sup>24</sup> chłopina, rękę jego ucałować. Toteż mieszkanie nasze przepelnione było sąsiadami, nieraz niby w kościele. Na tych schadzках sąsiedzkich ojciec najczęściej opowiadał coś z *Perł humoru polskiego*<sup>25</sup>, których sporo na pamięć umiał. Opowiadał też ważniejsze wypadki swego życia, szczególnie z roku 1863 i przejścia w kaźni na zamku krakowskim, dokąd za udział w ruchawce

Sąsiad, Chłop

<sup>20</sup>ponoś (daw., gw.) — ponoć, podobno. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>rad (daw.) — zadowolony, chętny; chętnie. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>reński — złoty reński, polskie określenie austriackiego guldena, oficjalnej waluty Austro-Węgier. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>korzec (popr. M. Im: *korców*) — dawna jednostka objętości produktów sypkich (ziarna, mąki itp.), licząca w XIX w. ok. 128 litrów i podzielna na 32 garnce. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>chudobny (daw., gw.) — ubogi, biedny. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Perły humoru polskiego* — popularny zbiór krótkich humorystycznych utworów literatury polskiej, publikowany przez Kazimierza Bartoszewicza jako tanie dwumiesięczne wydawnictwo zeszytowe (t. 1–3, wyd. 1884–1892). [przypis edytorski]

w tymże roku<sup>26</sup> na dziewięciomiesięczne więzienie wyroki austriackich sądów wojennych go wtrąciły. Poza tym odczytywał ojciec sąsiadom ówczesne bardzo popularne gazetki ludowe: „Dzwonek”, „Chatę” i „Nowiny”.

Pogadanki z sąsiadami przeciągały się u nas nieraz do późnej nocy przy słabym świetle zwykłej naftowej lampy, która i tak była w owym czasie na wsi rzadkością, czego dowodem następujący wypadek. Gdy pewnego wieczora poczęła lampa kopcić, ojciec, chcąc oczyścić zwęglony knot, usiłował gołą dłonią zdjąć szkiełko, które jednak ciasno osadzone, zdjąć się nie dało. Co więc ojciec ujmie palcami za baniasty spód szkiełka, zaraz rękę odejmuje i dmucha w palce. Przypatrywał się tej manipulacji jeden z najbliższych stołu siedzących sąsiadów; chcąc tedy<sup>27</sup> ojca wyręczyć, a przy tym snąć<sup>28</sup> dufając<sup>29</sup> większej na gorąco wytrzymałości twardej swej dłoni, całą garścią ujął za cienką w górze szyję szkiełka i naraz z głośnym sykiem raptownie dłoń cofnął, mówiąc: „O... ja myślałem, że w górze to nie tak parzy”...

Do częstych naszych gości należał Michał Bożek, który każdego lata przebywał na flisie<sup>30</sup> jako retman<sup>31</sup>. Był to chłop wesoły, filut<sup>32</sup> co się zowie, a liczne płatał figle, z których jeden przytoczę.

Wśród Żydów w miasteczku Tarnobrzegu wybuchły epidemiczne choroby, zabierając liczne ofiary. Żydzi, jak zwykle tłum przesądny, zamiast stosować środki zapobiegawcze, usunąć niechlujstwo, przeprowadzić dezynfekcję mieszkań i ulic i przestrzegać czystości, namówili Bożka, by za pewnym wynagrodzeniem udał się na kirkut<sup>33</sup> i tam z ukrycia, skoro usłyszy zapytanie: „Nie ma tu miejsca?”, odpowiedział, że nie ma. Wybrał się tedy Bożek i czekał. A kiedy wkrótce przybyli tam Żydzi i z namaszczeniem zapytali: „Nie ma tu miejsca?” — posłyszeli taką dobitną odpowiedź: „Jest! Jest dość miejsca! Dawać ich tu jak najwięcej!” — „Gwałt! Rabuśnik!” — wrzasnął tłum zawiedzionych chasydów<sup>34</sup>, rzuciwszy się z wyciągniętymi rękami i usiłując ująć Bożka, ale ten jak z procy wyskoczył z ukrycia, poobalał na ziemię tych, którzy drogę mu zagrządzali, dopadł oparkanienia kirkuta, przesadził je z kocia zwinnością, a znalazłszy się w przyzwoitej odległości, gdzie kamienie zrozpaczonych wyznawców Talmudu dosięgnąć go już nie zdołały, jeszcze na dobitkę fujarkę na nosie im pokazywał.

Sprytem i zmysłem spostrzegawczym odznaczał się także częsty nasz gość, Mikołaj Ozogowicz, będący wówczas polowym<sup>35</sup> gminnym. Pewnego zimowego ranka, w środę, w którym to dniu odbywał się tygodniowy targ w Tarnobrzegu, do naszego mieszkania wpadła jedna z gospodyń z lamentem, że sąsiad tejże, rudy Mordka, stado jej gęsi wpędziwszy na swe podwórze, wykradł żeń najpiękniejszego gąsiora. Poszkodowaną odesłał ojciec do wójta, którym był Walenty Madej, rodem z Wielowśi, krewny ojca.

Wójt, wysłuchawszy relacji, rozkazał dwóm polowym przeprowadzić u Mordki rewizję. Najpierw stajnię, potem komorę przeszukano, a skoro tu nic nie znaleziono, udano się do izby. Lecz i w izbie, mimo przeszukania wszystkich kątów, śladu kradzieży nie odkryto. Wtedy Ozogowicz odezwał się do kolegi: „Michale, odsuńmy jeszcze szafę”. — „Po co szafę, na co szafę?” — protestował zaperzony Żyd, usiłując stawić opór, jednak daremnie, bo polowi usunęli szafę — pod którą również nic nie znaleźli. Ale Mikołaj nie stracił rezonu i zabrał się do kopania dołu w miejscu odsuniętej szafy... „Aj waj! Czyście wy, Mikołaju, oszaleli? — odzywa się Żyd, przybladłszy nieco. — Nu, róbcie, co chcecie, nic nie zdybiecie... ja nie ukradł, jak Boga ko...” Tu urwał, bo Mikołaj, wykopawszy już spory dołek i zapuściwszy weń rękę aż do ramienia, zawołał triumfująco: „O! Ja tu coś namacał” i dźwigając się, wyciąga i w górę podnosi gąsiora! Wszelkie perswazje Żyda, że

<sup>26</sup>udział w ruchawce w tymże roku — tj. w powstaniu styczniowym w 1863, jako członek grupy ochotników galicyjskich. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>snąć a. snadź (daw., gw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>dufać (daw.) — ufać, wierzyć. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>flis — splawianie rzeką drewna lub zboża; w widłach Wisły i Sanu flisactwo było częstym sposobem dorabiania. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>retman (daw.) — starszy flisak, który kierował splawem i zespołem flisaków. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>filut — spryciarz, żartowniś. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>kirkut (popr. D.: kirkutu) — cmentarz żydowski. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>chasyd (z hebr. *chasid*: pobożny) — wyznawca chasydyzmu, pobożnościowego ruchu o charakterze mistycznym w judaizmie, powstałego w XVIII w. na pld.-wsch. terenach Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>polowy — w majątku ziemskim: nadzorca ludzi pracujących w polu. [przypis edytorski]



nie wie nic, jakim „cudem” gąsior aż tutaj wlaź, nic nie pomogły. Gąsiora zawieszono mu na plecach i tak udekorowanego Żyda popędzono do kozy<sup>36</sup> w Tarnobrzegu.

Starsza generacja owych czasów składała się prawie z analfabetów; mimo to nie brakło wśród tych niepiśmiennych ludzi prawdziwych talentów i gdyby w miejsce karczemu stały były<sup>37</sup> szkoły, nie potrzebowalibyśmy użalać się dzisiaj na niedolę wsi naszej<sup>38</sup>. O jednym takim analfabecie z Wielowsi, odznaczającym się wybitnymi zdolnościami łatwego wyrażania się mową wiązaną, opowiadał mi ojciec. Wszystkie niemal pieśni kościelne, jakie znał na pamięć, na oczekaniu i bez zająknięcia przerabiał na swój sposób, stosownie do okoliczności. Spotkał np. zwałonego z nóg do błota pijanego chłopca, wtedy nad nim zaintonował:

W błocie leży  
Któż przybieży  
Pijanego ratować?  
Karczmareczki przybiegajcie,  
Pijanego wyciągajcie,  
Nie może se rady dać.

Żadne zabawy, wesela, chrzciny nie obeszły się bez niego, wszędzie mile był widziany. Wydawała jedna z gospodyń córkę za pewnego podtatusiałego kawalera z połyskującą już dobrze na czubie łysiną, a za którego, mówiąc nawiasem, iść dziewczyna nie chciała, musiała jednak ulec stanowczej woli matki, której imponował majątek pana młodego. W trakcie zabawy weselnej chciała matka przywołać zięcia po imieniu, lecz w sam raz zapomniała, jakie ma imię. Zauważył to nasz poeta i w lot zaśpiewał:

„Zapomniała matka, jak na zięcia wołać:  
Pójdźże, łysy byku, pojedziewa<sup>39</sup> orać...”

Wśród weselników nastąpił wybuch szalonego śmiechu. Tylko pani młoda rozpląkała się, a ukrywszy się w kącie, narzekała na matkę i męża.

Fizjonomia<sup>40</sup> wsi w owych czasach tak pod względem zewnętrznym, jak i duchowym inny miała wygląd. Ludność była uczciwa, pracowita, pobożna. O każdej porze roku budziła się ze snu bardzo wcześnie — zazwyczaj z pierwszym pianiem koguta, a każdy dzień rozpoczynała śpiewaniem godzinek<sup>41</sup>. Tak samo, mając udać się na spoczynek, nabożną pieśnią dzień kończyła. Umarł ktoś we wsi, miano zwyczaj zapraszać do domu żaloby któregoś odznaczającego się większą swadą oratorską sąsiada, który imieniem zmarłego w stosownej przemowie przeproszał ziemię, po której deptał; wodę, którą pił; słoneczko, co mu świeciło, gdy on jeszcze spał; przyjaciół, krewnych, rodziców itd. Przed każdą zaś spowiedzią wielkanocną chłopaki, sposobiąc się do niej, chodzili po domach i przeproszali mieszkańców za zrzędzoną im szkodę, o sprawcy której poszkodowany najczęściej właśnie dopiero teraz się dowiadywał.

I nie mogę powiedzieć, iżby w czasach owych smutno na wsi było. Prawda, że pod względem oświaty i pojmovania spraw ogólnych ludność ówczesna stała bardzo nisko, jak niemniej pod względem materialnym dużo odczuwała braków; odznaczała się przecież mimo to szczerą wesołością, choć zmuszona była pracować bez porównania więcej i w cięższych niż dziś warunkach. I nie pomylę się, gdy powiem, że do rozjaśnienia szaryżny życia naszego ówczesnego ludu przyczyniały się niepomiernie chwalebne obyczaje,

Wieś, Obyczaje

<sup>36</sup>koza (daw., pot.) — areszt. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>gdyby w miejsce karczemu stały były szkoły — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość; dziś: gdyby w miejsce karczemu stały (dawniej) szkoły. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>gdyby w miejsce karczemu stały były szkoły... — w samym Sobowie istniały wówczas dwie główne karczmy, prócz których jeszcze w trzech prywatnych domach żydowskich były szynkownie, czyli że w jednej średniej wsi były aż trzy żydowskie szynkownie. [przypis autorski]

<sup>39</sup>pojedziewa (gw.) — pojedziemy. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>fizjonomia — twarz, wyraz twarzy; tu: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>godzinki — katolicka modlitwa śpiewana pochodząca od liturgii godzin; najpopularniejsze są godzinki ku czci Matki Boskiej. [przypis edytorski]

pobożność i różne tradycyjne zabawy i obchody, z których wiele zanikło dziś zupełnie, czego szczerze wypada żałować.

Szczególnie oryginalną była ongiś na wsi zabawa, a właściwie pustota<sup>42</sup>, w poniedziałek wielkanocny, tak zwany „lejek” albo „święty lejek”, polegająca na wzajemnym oblewaniu się wodą między parobczakami a dziewczuchami. Po powrocie z kościoła dnia tego zbierali się parobczaki przed domem, gdzie znajdowała się jedna lub więcej dziewczuch. Do izby rzadko kiedy udało się im pierwszym dostać, bowiem dziewczuchy na czas przed nimi się zabezpieczały, przymykając drzwi chałupy drewnianą zasuwą, co jednakże nie uchroniło ich od natrętów, którzy zawsze znaleźli jakiś fortel na wywabienie dziewczki z ukrycia. Skoro tylko dziewczucha wychyliła się poza drzwi, wyskakiwał jeden z parobczaków z zasadzki i przytrzymał ją. Inni przybiegali mu zaraz z pomocą, ujmowali dziewczuchę pod ramiona i wlekli przemocą ku studni, gdzie jeden z nich, zapuściwszy żuraw, wyciągał konew i metodą księdza Kneippa<sup>43</sup> lał z góry na głowę trzymanej, daremnie szamoczącej się dziewczki strumienie zimnej jak lód wody. Co gdy zobaczyły inne dziewczęta, pośpieszały w sukurs<sup>44</sup> rówieśniczce, w skopce<sup>45</sup> i garnki z wodą uzbrojone, pragnąc się za koleżankę odwzajemnić; atoli<sup>46</sup> gdy się już zbyt przybliżyły, puszczały chłopaki przemoczoną do ostatniej nitki dziewczkę, a przybyłe chwytały — i oblewali, ile wlaźło. Ma się rozumieć, że tak splukane, niemające nic do stracenia dziewczęta przechodziły teraz do roli zaczepnej — i rozpoczynała się ogólna gonitwa i wzajemne chlustanie.

Starsi zaś, nie tylko że pustoty tej nie ganili, mówiąc: „Niech się tam dzieci rozerwią”, ale sami wychodzili na ulicę gwoli<sup>47</sup> przypatrzenia się igraszce młodzieży. Niejeden z ojców, patrząc na te swawole, odezwał się do matki: „Kaśka, a może byśwa se tak spomnieli młode lata, co?” i przy tych słowach — chlust! w kobietę trzymaną dyskretnie za plecyma<sup>48</sup> kwartą wody. „A ty zbereźniku!... — krzyknęła zaczepiona, pochylając się i potrząsając głową, z której obficie ściekały krople wody. — A ty stary zbereźniku, dam ja ci!” Ale gospodarz, nie czekając, aż mu się żona odwzajemni, czym prędzej drapał z placu. Kobieta zaś, nie mogąc mężowi się zrewanżować, oblewała pierwszego przechodzącego mimo<sup>49</sup> sąsiada.

Oj, byłoż to, było napatrzeć się czemu a uśmieć się, a duszę rozweselić! A choć po takiej swawoli rzadko kto z biorących w niej udział suchą nitkę miał na sobie, szkody przecież żadnej nikt nie poniósł, ubierano się bowiem wówczas nie w lichą obcą tandetę, jak to niestety dzisiaj się dzieje, lecz w prosty z domowego płótna strój, który wystarczył powiesić i wysuszyć, by ślad przemoczenia zniknął.

Niejeden z dzisiejszych wysubtelnionych elegantów opisaną wyżej pustotą gotów nazwać średniowiecznym zacołaniem, a nawet barbarzyństwem. Co do mnie, to wołałbym, by dawne owo oblewanie wróciło, a niechby natomiast przepadło to nieszczęsne, w powszechnej dziś modzie będące „oblewanie” w szynkowniach<sup>50</sup>.

Z dawnych zwyczajów dochowało się jeszcze wówczas obchodzenie „sobótek”, ale już zanikające. Obchodzenie sobótek polegało na paleniu ogni w noc św. Jana<sup>51</sup>, gdzie zgromadzeni parobcy, z dziewczuchami tańcząc dokoła ognia, śpiewali stosowne pieśni, jak np.:

„Grzmią wozy, grzmią na Bukowinie,  
Nasieję ja tatarczki na tej nowinie<sup>52</sup>;  
O, biały Janie, a któż tam będzie przebywał?”

<sup>42</sup>pustota (daw.) — lekkomyślność i skłonność do żartów; tu: lekkomyślne figle. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Kneipp, Sebastian (1821–1897) — bawarski ksiądz katolicki, propagator hydroterapii, urozmaiconej i pełnej diety oraz ziołolecznictwa. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>sukurs (daw., z łac.) — wsparcie, pomoc. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>skopek — drewniane wiaderko na mleko lub śmietanę. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>gwoli (daw.) — dla, w celu. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>plecyma (daw., gw.) — dziś popr.: plecami. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>szynk a. szynkownia — gospoda, zajazd, oberża. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>noc św. Jana, noc świętojańska — święto obchodzone w nocy z 23 na 24 czerwca w wigilię liturgicznego dnia św. Jana Chrzyciela, będące próbą zasymilowania przez chrześcijaństwo pogańskich obrzędów związanych z letnim przesileniem słońca. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>nowina (daw.) — nowizna, nowy, świeży grunt uprawny, po wykarczowaniu lub długiej przerwie. [przypis edytorski]

Nadobny Jasieńko konie pętywał,  
O, biały Janie” itp.

Z pięknego tego starodawnego zwyczaju dziś w stronach tych nie zostało ani śladu, pomimo że nawet księża (w szczególności ks. Julian Leszczyński<sup>53</sup>, długoletni i zasłużony proboszcz wielowiejski, człowiek wysokich zalet, wybitny konserwatysta) zabiegali za utrzymaniem go — i dzisiejsza ludność nie ma pojęcia, jak to się odbywało. Utrzymały się za to przesady, wiara w gusła, czary, uroki itd. I chyba najbardziej ponurą stroną wsi owych czasów było bezgraniczne zaufanie ludności do owczarzów — znachorów i znachorek, do których we wszelkich przypadłościach i chorobach po radę i pomoc się udawano.

Wójtem w Sobowie był wówczas — jak już wspomniałem — Walenty Madej, u którego przez jakiś czas komornym<sup>54</sup>, wspólnie z gospodarzami w jednej izbie mieszkaliśmy. Chłop to był świątły, piśmienny, co w owych czasach na wsi między starszymi ludźmi należało do wyjątków. Nie znosił on w swej gminie plotkarstwa, obmów, kłótni, pijatyki i bijatyki; doglądał nawet, by w każdym domu panował wzorowy porządek, ład i czystość, a zauważone w którejś chacie niechlujstwo wytykał śmiało gospodyni, ochędożne<sup>55</sup> zaś i zapobiegliwe niewiasty za wzór innym stawiał. Toteż bywało, że skoro która gospodyni zauważyła zbliżającego się ku jej domostwu Madeja, wydawała zazwyczaj okrzyk: „O, loboga! Madej, Madej idą!... A zamiećże, Wikta, niezdaro, izbę, a wynieście, Wojtek, koryto, a duchem<sup>56</sup>... o Matko Boska!”... i biegnąc od kąta do kąta, porządki na gwałt w izbie robiła.

Był Madej postrachem lampartów<sup>57</sup> wszelkiego rodzaju, toteż ci nie lubili go, a już pijacy wprost drżeli przed nim. Bo też dla tych ostatnich był bezwzględny i każdego napotkanego na wsi, nieprzyzwyczajonego zachowującego, gorzalczanego zwolennika rozkazywał polowym gminnym chwycić i bez ceremonii do aresztu gminnego pakować na suchy chleb i wodę; kto zaś usiłował wyrwać się lub chciał bić polowych, temu zakładał na ręce kajdanki. Tę samą karę stosował także i do nieletnich przestępców w gminie, czy to za kradzież, czy też za robienie szkód w cudzych ogrodach i polach. Długość czasu odsiadanej kary wynosiła zazwyczaj od 6 do 24 godzin, a czasem i trzy dni, zależnie od rodzaju popełnionego przestępstwa.

Bywało, że jakiś wyrostek dostał się pod klucz, o czym gdy tegoż ojciec lub opiekun się dowiedział, szedł prosto do wójty i nuże prosić, by polecił uwolnić urwisa, którego w gospodarstwie niezbędnie potrzebował. Madej wszakże nie był tak łatwo ustępliwy i odpowiadał krótko: „Niech odpokutuje, na co zasłużył”. Gdy atoli interesowany prośby ponawiał: „Wypuście go, wójcie, już ja mu dam pucówkę<sup>58</sup>, a będę odtąd pilnował, by podobnego gałgaństwa więcej nie zrobił” — dał się wójt w końcu nakłonić, zlecając polowemu uwolnić z kozy wyrostka. Szedł tedy interesowany w towarzystwie polowego ku aresztowi, i kiedy polowy odmykał drzwi kaźni, gospodarz naprzeciw wyjścia stał z przygotowanym powozem, którym wychodzącemu z kozy urwisowi moralność na plecach wykladał.

Pamiętam, gdy pewnego razu do naszego mieszkania, jako kancelarii, gdzie oprócz licznych sąsiadów był także obecny wójt Madej z kilkoma członkami zwierzchności gminnej, dwaj polowi przyprowadzili jednego z miejscowych gospodarzy, bezpośrednio sąsiada Madeja, Michała Skrzypka; który lubił zbyt często się upijać, a kiedy napomnienia wójty i zwykłe kary nie odnosiły skutku, a nawet skrzypek począł maltretować żonę, rozkazał Madej skuć mu kajdankami ręce i przetrzymać dni parę w areszcie, aż żona zasądzonego poczęła w końcu prosić za mężem — i oto właśnie prosto z aresztu tutaj go przyprowadzono. Przystąpiwszy próg, pochwalił Skrzypek przykładowie Pana Boga, wysłuchał w pokorze karceń i upomnień, w których Madej przedstawiał winowajcy zgubne

<sup>53</sup>Leszczyński, Julian (1818–1882) — ksiądz katolicki, w 1848 poseł do parlamentu w Wiedniu, w latach 1860–1880 proboszcz parafii w Wielowsi. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>komornym mieszkać a. na komornym siedzieć — nie mieć własnego domu i mieszkać w izdebce w domu innego, bogatszego chłopca, przeważnie w zamian za świadczoną pracę. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>ochędożny (daw., gw.) — schludny, zadbany. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>duchem — co tchu, czym prędzej, natychmiast. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>lampart (daw.) — hulaka, rozpustnik, nicpoń. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>pucówka (daw., pot.) — ostre napomnienie, nagana; rzadziej: cięgi, chłosta. [przypis edytorski]

skutki pijaństwa, przyrzekł poprawę, a płacząc jak dziecko, padł na kolana, skute łańcuszkami ręce wznosił ku wiszącym na ścianach obrazom świętym, i tak się czołgał na kłęczkach, a poprawę w dalszym ciągu przyrzekał, aż Madej zdjął mu z rąk łańcuszki. Wtedy Skrzypek ujął go za nogi i ucałował mu rękę, a następnie wszystkim zgromadzonym mimo wahań z ich strony to samo uczynił.

Odnaczał się przy tym Madej wielką prawością charakteru i zacnością serca, czego przykładem następujące zdarzenie. W sam dzień nowego 1875 czy 1876 roku spowodowany ważnym interesem udał się Madej do Tarnobrzegu, zaopatrzony w placek, który w torbie skórzanej umieścił. Przypadek zrzucił, że ktoś mu ten placek z torby wyciągnął. Wróciwszy późnym wieczorem do domu, żalił się, że głodny, gdyż od rana nic w ustach nie miał. Ktoś z domowników zwrócił mu uwagę, że przecież placek na drogę z sobą wziął. Madej zaś na to: „Prawda, lecz jakiś dobry człowiek wyjął mi go z torby; zresztą jestem już w domu, to się posilę, a on może nic więcej prócz tego placka nie miał do jedzenia”. Słyszając to, ojciec mój wtrącił: „A bodaj się nim udławił”. Lecz Madej skarcił ojca za to wyrażenie, mówiąc: „Dobrze zrobił, że wziął, bo musiał być głodny — niech mu wyjdzie na zdrowie”.

I mimo tylu wybitnych zalet nie był Madej wolnym od przesądów i wierzył znachorom, czego dowodem następujący mały obrazek. Służył u Madeja dorosły parobek, nazwiskiem Adam Kulig. Otóż od pewnego czasu cierpiał on bóle w nodze, co czyniło go niezdolnym do pracy. Chcąc parobka wyleczyć, posłał Madej po znachorkę, w miejscowej wsi zamieszkałą. Znachorka, baba niestara i dobrze wyglądająca, rozkazała Adamowi położyć się na wznak na środku izby z rozkrzyżowanymi rękami. I kiedy ten zastosował się do jej żądań, baba rozpoczęła dokoła chorego wędrówkę, nadeptując mu za każdym okrażeniem bolącą nogę. Chory jęczał, wyl, wrzeszczał rozdzierającym głosem: „O! loba-ga!...” „Swocyku<sup>59</sup>, ratujcie mnie!” błagał, zwracając wykrzywioną bólem twarz ku memu ojcu — ale nadaremnie; nikogo nie wzruszył, na twarzy przypatrujących się tej dziwnej operacji domowników osiadła zimna, flegmatyczna obojętność, jak gdyby się działa rzecz najzwyczajniejsza w świecie. Musiał więc biedak wytrzymać, dopóki mu baba kilkakrotnie nogi nie przydeptała. Rzecz prosta, że ten sposób „leczenia” nie tylko, że zdrowia choremu nie wrócił, ale zrobił go kaleką na całe życie.

Podobnego rodzaju praktyki uprawiane były we wsi na dużą skalę i nic dziwnego, skoro ani taki Madej, ani nawet ojciec mój stronić od znachorów nie umieli.

Jakkolwiek nie jest moim zamiarem opisywać praktyki znachorów, nie chciałbym pominąć milczeniem jednego komicznego wypadku, jaki miał miejsce parędziesiąt lat później w Koćmierzowie, niedużej wsi nad Wisłą, tuż obok Wielowsi. Jedną z gospodyń ze wspomnianej wsi, znana powszechnie pod imieniem Baśki, trudniła się dorywczo udzielaniem porad i pomocy lekarskich nieszczęśliwym bliźnim. Do tej to Baśki przywędrował raz z oddalonej wsi jakiś chłopina po pomoc w chorobie. Po wysłuchaniu żalów pacjenta wtoczyła Baśka dużą beczkę, w której następnie ułożyła rozpaloną cegłę, polecając gościowi swemu, by zupełnie rozebrany wlaźł do tej osobliwej superatki<sup>60</sup> celem okadzenia się. I kiedy chłop przykucnął w beczce nad rozpaloną cegłą, Baśka nachyliwszy się, polała ów rozpalony przedmiot... spirytusem. I tu stała się rzecz nieoczekiwana. Pod rozkraczonym chorym w tymże samym momencie buchnął płomień, w następstwie czego, niby ogromna kula z ogromnej paszczy armatniej, wystrzelił się chłop z beczki, i kiedy Baśka — widno<sup>61</sup> przez skromność — uciekła za drzwi, on żwawo wdział na siebie bieliznę, dopełnił szybko garderoby i z młodzieńczą rzeźkością pognął prosto do domu.

Ten to naprawdę został wykurowany!

## II

*Szkółka w Sobowie. Ostatni lirnicy. Utrata słuchu.*

W życiu mego ojca zdarzało się — o czym już na początku wspomniałem — że od czasu do czasu, na krócej czy dłużej, znalazł się bez zajęcia. Wtedy najmował się sąsiadom

<sup>59</sup>swocyk (gw.) — zdrobn. od: swok (swak), tj. mąż ciotki. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>superatki — zniekształt.: separatki. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>widno (daw.) — widać, widocznie. [przypis edytorski]

do młocki czy innej roboty w polu, za zwykłym dziennym wynagrodzeniem. W porze zaś zimowej, gdy o jakąkolwiek robotę poza domem było trudno, siedząc w domu, dłubał, oprawiając ludziom święte obrazki w tekturę za szkło, którą to sztukę przyswoił sobie w dawniejszych latach. Była to dłubanina żmudna, dużo cierpliwości wymagająca, ale rzecz sama wykonana bardzo ładnie. Sąsiedzi lubili taką oprawę obrazków, toteż i roboty ojcu w tym przypadku nie brakowało. Zarobek wszakże w ten sposób uzyskany był znikomo mały, gdyż za cały tydzień skrzętnej dłubaniny zdołał ojciec zarobić zaledwie 50–80 centów<sup>62</sup>. Poza tym znał ojciec także sztukę introligatorstwa, dającą cokolwiek większy zarobek, zawsze jednak marny, toteż wynagrodzenie w pieniądzu rzadko kiedy brał, zadowolając się zapłatą w naturze.

Matka także najmowała się ludziom do żniw, kopania ziemniaków i innych robót w polu, na zimę zaś przyjmowała od sąsiadów kądziel<sup>63</sup>, którą całymi dniami i większą częścią nocy przy migotliwym świetle ogarka przędła na wrzecionie, otrzymując za to wynagrodzenie również w naturze. Za owych czasów każdy posiadacz choćby małego skrawka gruntu uprawiał len czy konopie i nie było po prostu w Sobowie domu, w którym by się na tkactwie nie znano. Toteż porą zimową podręczne warstwy tkackie we wsi trajkotały całymi dniami. Dodam, że matka moja na sztuce tkactwa domowego znała się doskonale — i kto by dziś płótno jej wyrobu zobaczył, nie dałby pewnie wiary, że to zwykły domowy, kobiecy wyrób.

Ojciec, siedząc w domu przy dłubaniu, urozmaicał sobie czas śpiewaniem różnych świeckich pieśni, jak „Nie tak to *illo tempore* bywało”, „Za Niemen het precz” itp.; tę drugą śpiewał najczęściej. Z nabożnych zaś pieśni śpiewał wspólnie z matką każdego wieczora oprócz pieśni „Dobranoc, głowo Święta” także pieśń do Anioła Stróża, której pierwsza zwrotka brzmi:

„Aniele, coś mi dany,  
Gdym ten powitał świat,  
Tyś wierny, mój kochany  
Przewodnik, piastun, brat”

a której słuchać bardzo lubilem.

W tym czasie mogłem już w domu na coś się przydać. Ile razy matka chciała zemleć jakąś miarkę ziarna, przywoływała mnie do żaren i przystawiwszy do nich stół, stawiała mnie na nim — i dopiero z takiego wzniesienia ujmowałem żarnówkę, o ile drobną garścią objąć ją mogłem, i wspólnie z matką mełłem, dopóki ostatnie ziarnko z wyłobienia, znajdującego się na jednym końcu żaren, a zwanego „duca”, nie znikło między wirującym kamieniem. Matka bowiem, przywykła do ustawicznej pracy, pragnęła także i mnie zawczasu do niej włożyć<sup>64</sup>. W porze zaś wiosennej i letniej pasalem gęsi na położonym opodal wsi pastwisku.

Każdej niedzieli letnią porą zjeżdżali do Sobowa, do któregoś posiadającego obszerniejszą izbę gospodarza, dwie siostry dominikanki z Wielowśi. Tam schodziła się dziatwa, której siostry udzielały nauki katechizmowej oraz wykładały *Małą historię biblijną*<sup>65</sup>. Na takie niedzielne nauki i ja również chodziłem, a wróciwszy do domu, wszystko, co tam słyszałem, ojcu musiałem opowiedzieć.

W szkółce sobowskiej rozpoczynał się nowy rok szkolny, a nauczycielem w niej ustanowiony był mój ojciec. Do szkoły tej zostałem i ja zapisany. Ojcowie czy opiekunowie niechętnie dzieci do szkoły oddawali, nie chcąc pozbywać się wyręczenia w domu, a głównie przy pasaniu bydła, ale że z wójtem Madejem żartów w takiej sprawie nie było, zatem chcąc czy nie chcąc, posyłać musieli. Rozpocząłem więc naukę od a, b, c na elementarzu, a w domu w wolnych godzinach naukę tę uzupełniałem.

Budynek szkolny, stojący mniej więcej w środku wsi na obszernym, piaszczystym

<sup>62</sup>cent — tu: nowy krajcar, pieniądz o wartości 1/100 złotego reńskiego (guldena austriackiego). [przypis edytorski]

<sup>63</sup>kądziel — pęk włókien lnu, konopi albo wełny przygotowany do przedzenia. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>włożyć (daw.) — wciągnąć, przyzwyczaić, przyuczyć, wyćwiczyć w czymś. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*Mała historia biblijna* — właściwie *Mała historia biblijna Starego i Nowego Przymierza dla szkół ludowych*, książka ks. Walentego Wolcza z 1895, wielokrotnie wznawiana. [przypis edytorski]

Praca, Kobieta

Szkoła, Wieś

Szkoła, Wieś, Żyd

placu w pobliżu kuźni gminnej, składał się z głównej, dość przestronnej, lecz niskiej sali, w której na środku stał słup podtrzymujący pułap; dalej była sień i szczupły alkierz<sup>66</sup>, służący na przechowywanie ksiąg i aktów gminnych. W sali przy ścianie naprzeciw drzwi wchodowych<sup>67</sup> stał na stopniach stół dla nauczyciela; wzdłuż ścian bocznych rzędy ławek; nieco ku tyłowi na sztalugach duża czarna tablica, przy słupie zaś, na którym przybita była biała kartka z narysowanym osłem, tak zwana „ośla ławka”; wreszcie na ścianie obok drzwi wisiał spory krzyż z figurą Zbawiciela, którego stopy każde z wchodzących na salę dzieci szkolnych musiało ucałować po uprzednim pochwaleniu Pana Boga, czego ojciec bardzo przestrzegał. Nauka rozpoczynała się zawsze stosowną pieśnią czy modlitwą, do której za przykładem nauczyciela wszystkie dzieci klękały, po czym po skatalogowaniu uczniów i uczennic odbywała się nauka. Żydowskie dzieci do szkoły tej przystępu nie miały.

Między uczniami było wielu niesfornych nicponiów; żeby ich utrzymać w przyzwoitym zachowaniu, wyznaczał ojciec zwykle jednego ze starszych, wzorowo sprawujących się uczniów, który, wzięwszy do ręki długi łożowy<sup>68</sup> pręt, chodząc po sali szkolnej, każdego schwyconego na „psikusach” zbytnika kijem tym namacalnie sięgał i do porządku przywracał. I dziwić się tej metodzie nie trzeba, niesforność bowiem niektórych chłopaków przechodziła wprost miarę; oto np. jeden z nich, syn miejscowego kowala, idąc do szkoły, zabierał z sobą szydło, którym siedzących najbliżej siebie współuczniów „macał” po łydkach... Do takich niepoprawnych szkolarzy stosowano chłostę.

Oprócz czytania, pisania, rachunków i rysunków uczyły się dzieci także śpiewu, ku czemu sprowadził ojciec parę śpiewników z nutami. Żadna z tych pieśni nie zachowała się w całości w mej pamięci, niektórą wszakże zwrotkę zapamiętałem do dzisiaj. Dzieci śpiewając na przykład:

„Nauczyciel dobrze prawi,  
Że w pracy nagroda,  
Niech go Pan Bóg błogosławi,  
Żegnać nam go szkoda,  
Dana, dana, dana!  
Żegnać nam go szkoda!”

ostatni wiersz zwrotki odśpiewywały z mocą i ochotą właściwą swemu wiekowi. „Dana, dana, dana!” brzmiało donośnie w takt dźwięku młotów w pobliskiej kuźni, wywołując uśmiech radosnego zadowolenia na każdej twarzy. Przesadnego wykrzykiwania tego „dana, dana, dana!” ojciec bynajmniej nie ganił, wychodząc z założenia, że ochota taka ożywia młodociane umysły i do tym większej pilności w nauce pobudza.

Te to śpiewniki z nutami miały w naszej szkółce dwojakie przeznaczenie. Który z chłopaków za wiele i niepoprawnie broił, wyprowadzano go z ławki na środek szkoły i zmuszano kłaść się na oślej ławce. I kiedy w nogach leżącego stanął jeden z cięższych chłopaków z łożą w ręku, brał ojciec śpiewnik, a rozkładając go i podsuwając kartki przed oczy leżącego, pytał: „Na jaką to nutę?”. Chłopak wytrzeszcza oczy i milczy. „Na jaką to nutę?” powtórzył nauczyciel, i w teże chwili na delikatną część ciała leżącego spadły razy. „O! loboga... loboga!” — wrzeszczał chłostany, wierzgając nogami. „To dla ciebie, nie la Boga” — mawiał ojciec i po wymierzeniu oznaczonej ilości kijów upominał zwykle krótko: „Teraz spodziewam się, synku, że na przyszłość nie będziesz mnie zmuszał do udzielania ci takiej lekcji”. Po czym chłopak przeproszał nauczyciela i wracał do ławki. Siedzenie na „oślej ławce” przeznaczone było dla nieuków.

Oprócz opisanych kar stosował jeszcze ojciec do upartych, niepoprawnych i leniwych uczniów oryginalny rodzaj kary, tak zwane „ośle uszy”. Z brzozy kory wycinano szeroki 4–5 cm, odpowiedniej długości pas, którego końce z sobą łączono i tak powstawała opaska do wkładania na głowę. Osobno wycinano z tego samego materiału dwa wysokie uszy na podobieństwo oślich i uszy te do przygotowanej poprzednio opaski przypasywano — i tak powstawały owe „ośle uszy”, które zasługującemu na nie na głowę wkładano. Ten

<sup>66</sup>alkierz — mały boczny pokój. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>wchodowy (daw.) — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>łożowy — wierzbowy, wykonany z witek lub gałęzi wierzby szarej, krzewu z rodziny wierzbowatych. [przypis edytorski]

Szkoła, Uczeń, Kara

Szkoła, Nauka

Szkoła, Kara, Uczeń,  
Nauczyciel

Szkoła, Uczeń, Kara

rodzaj kary należał do najcięższych. Bywało, że ukarany w ten sposób chłopak nie tylko, że tak „odznaczony” przesiedział na osłej ławce, ale nawet w razie cięższych przewinień szedł wsią do domu przez współuczniów odprowadzany, narażając się przez całą drogę na rozmaite niepoehlebne uwagi ze strony przyglądających się tej maskaradzie starszych i dzieci, a za przybyciem do domu brał cięgi. Zdarzało się, że przyszedłszy do domu, zrywał sobie z głowy tę dekorację i targał ją na strzępki; trafiało się to jednak dość rzadko, gdyż za przybyciem do szkoły za postępek taki podlegał winowajca „nutom”.

Poza tym ojciec jako nauczyciel dbał o rozwój fizyczny dzieci, urządzając im od czasu do czasu tak zimą, jak latem w dni pogodne tzw. „spacery”. Szliśmy więc zimą gromadnie na ślizgawkę, latem zaś na piaski za wsią. Na spacerach takich oddawaliśmy się ćwiczeniom fizycznym, a raczej swawolom. Na piaskach wetknąwszy odpowiedniej długości kij i zawiesiwszy na nim czapkę, każdy z nas jeden po drugim popisывał się zręcznością: rozpędziwszy się w biegu, przesadzał w śmiałym skoku zawieszoną na kiju czapkę. To znów próbowaliśmy swych sił, we dwóch ująwszy się za bary; który przeciwnika na ziemię położył, ten zbierał pochwały. Dziewczeta bawiły się osobno.

Do naszej szkółki zaglądał często wójt Madej, zadając dzieciom pytania i zachęcając je do pilności oraz nakazując posłuszeństwo względem nauczyciela.

Z krótkich tych chwil szkolnych pamiętam jeszcze ukazujących się od czasu do czasu na wsi wędrownych lirników, o których w szkole śpiewaliśmy ze śpiewnika:

„Bywało, mówią, czasy dawnemi  
Żyli lirnicy na naszej ziemi  
I chodząc z pieśnią z proga do proga,  
Głosili chwałę kraju i Boga”.

Dla tych to lirników ojciec mój żywił prawdziwą sympatię i skoro kiedy wędrującego wsią lirnika zauważył, wychodził z izby szkolnej, przywoływał go do szkoły i prosił o zagranie. Grał więc lirin na lirze i śpiewał najczęściej okolicznościową pieśń nabożną, a my słuchaliśmy; albo też dzieci śpiewały pieśń o ostatnich lirnikach, której pierwszą zwrotkę powyżej przytoczyłem, a lirnik im przygrywał. Po opuszczeniu szkolnej ławy lirników w stronach tutejszych już nie widziałem.

„Nie wiem przyczyny, jak się to stało,  
Ale lirników wciąż ubywało  
I coraz smutniej pieśń liry brzmiała,  
I coraz ciszej — wreszcie skonala”.

W takich warunkach ukończyłem siódmy rok życia.

Jakkolwiek pierwsza młodość moja szczęśliwą nie była, to dalsze lata życia o wiele smutniej mi płynęły. Aż dotąd byłem zdrów, odczuwałem życie w całej naturze, co pozwalało mi łatwiej znosić niedostatki. Podobało się przecież Panu Bogu odjąć mi słuch. Dotychczasowy więc świat głosów, którym tak krótko cieszyłem się, zaniemiał dla mnie zupełnie.

Żegnajcie mi zatem wszelkie głosy natury, któreście duszy mej przez krótkość pacholęctwa mego pokrzepieniem były.

Żegnaj, świergocie przywiązanych do strzechy wioskowej wróblích gromadek i ty, lotnych jaskółek szczebiocie u poddasza.

Żegnaj, cudowny hymnie szarego skowronka, zawieszzonego w wiosenne poranki nad budzącą się z letargu zimowego ziemią.

Żegnajcie, rzewne słowików trele, zamieniające w przybytek aniołów ciszę wonnych wieczorów wiosennych.

Żegnajcie, wy, polnych świerszczów ćwierkania wśród tchnących aromatem pól w jasne letnie dzionki i ty, czarowna żabich chórów kapelo, w przednocki majowe.

Żegnajcie, szmery wód i poszumy pól „wyzłacane pszenicą, posrebrzane żytem”<sup>69</sup>.

<sup>69</sup>wyzłacane pszenicą, posrebrzane żytem — Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, ks. I, w. 18. [przypis edytorski]

Żegnajcie, kochane dźwięki serdecznych słów matki, ojca i braci. Wdzięczna melodia pastuszej ligawki<sup>70</sup>, srebrzysty głos dzwonka, krówek poryki, koników rzenie — żegnajcie, żegnajcie!

Nieublagana ręka Przeznaczenia odbiera mi was i zamyka w wyciosaną z głazów martwoty trumnę. I spuszcza tę trumnę w niezgłębiony jak wszechświat grób.

A na grobie tym zatyka aż po gwiazdy wysoki, a spadów łuku sklepienia niebieskiego ramionami swymi sięgający krzyż.

I daje mi w zamian na nieodłączną towarzyszkę życia uroczystą, pełną niemego majestatu Ciszę, umarłych kochankę.

Żegnajcie, żegnajcie!

\*

Powodem utraty słuchu była ciężka, kilka tygodni trwająca choroba, której przyczyny trudno ustalić. Pewnego wiosennego, wietrznego dnia rodzice moi, wybierając się do miasta, polecieli mi, bym podczas ich nieobecności dorzucił krowie w południe paszy. Od ranka tegoż dnia czułem się jakoś niezdrów, co wszakże nie przeszkadzało mi krzątać się koło domu. W południe, wykonując polecenie rodziców, poszedłem do stodoły. Wszedłszy do niej, wrótnię<sup>71</sup> zostawiłem otwartą. W chwili gdy z sianem wychodziłem, gwałtowny wicher uderzył we wrótnię z taką siłą, że zatrzaskując się, zaporą uderzyła mnie w skroń tak mocno, że zaporą się oderwała i wraz ze mną na ziemię upadła. Mimo tak gwałtownego uderzenia z łatwością podniosłem się z ziemi, a co dziwniejsze, ani bólu, ani też ogłuszenia prawie nie odczułem. Od tego atoli dnia szybko począłem na zdrowiu upadać, wreszcie rozchorowałem się tak ciężko, że o moim wyzdrowieniu wszyscy zwątpili. Młoda natura przecież przemogła i powoli wracałem do sił.

Choroba nie od razu pozbawiła mnie słuchu, lecz zanikał on stopniowo i przekonany jestem, że gdyby rodzice moi więcej mieli świadomości i na czas pomocy lekarskiej wezwali — byłbym zupełnie władzę słuchu zachował. Dopiero w parę miesięcy po ogłuchnięciu matka udała się ze mną raz, drugi i trzeci do lekarza w Tarnobrzegu. Następnie stosowano mi środki podług wskazówek rozmaitych miejscowych i zamiejscowych znachorek i „doktorek”, a skoro i to nie pomogło, chodziłem z matką do ówczesnego dziedzica w Zarzekowicach, śp. Wojnarowskiego<sup>72</sup> lecz był to już zachód spóźniony, W ostatku ojciec na podstawie wyczytanego w gazecie ogłoszenia sprowadził maleńką flaszeczkę tzw. „olejku słuchu” dra Schippka z Wiednia za cenę coś 6 reńskich — i także na próżno.

Utratę słuchu odczułem w początku może nie tak boleśnie, niżby się zdawało, albowiem ojciec opisując mi rozmaite, nawiasem mówiąc, zmyślone przykłady, jakoby ten a ten po tylu a tylu latach całkowitej głuchoty odzyskał wreszcie słuch, pocieszał mnie nadzieją, że i ja także wkrótce przesłyszę. No i żyłem tą nadzieją, zwodniczą co prawda, lecz zawsze z wiarą w lepsze jutro.

Odtąd rozpocząłem smutny okres życia. Mimo upośledzenia fizycznego czasu nigdy nie marnowałem, gdyż w domu naszym próżnowania nie znano. Pomagałem więc matce w robieniu porządków w domu, mleć w żarnach, robić w polu, to znów podczas ogólnego we wsi ruchu warsztatów tkackich, nawijałem przędzę na cewki; przy ojcu wprawiałem się w oprawianiu obrazków, a w wolnych od roboty chwilach brałem książkę, tabliczkę z rysikiem<sup>73</sup> i oddawałem się nauce.

<sup>70</sup>ligawka — ludowy instrument dęty w formie rogu, zrobiony z dwu złączonych połówek uprzędno przeciętego wzdłuż i wydrążonego kawałka drzewa. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>wrótnia (daw., gw.) — wrota, brama. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>ówczesnego dziedzica w Zarzekowicach, śp. Wojnarowskiego — Edmund Wojnarowski, właściciel małego dworku w Zarzekowicach nad Wisłą, tuż pod Sandomierzem, był bardzo uczynny dla okolicznej ludności i miłosierny. Jako znający się na praktyce lekarskiej udzielał on bezpłatnie porady chorym i lekarstw z własnej domowej apteczki. Stąd to przez okoliczną, ubogą ludność zawsze był oblegany. Umarł samotnie, tak jak żył, nie pomnę jednak, którego roku. Ale wdzięczna o nim pamięć w okolicy żyje po dziś dzień. Z dworku jego w Zarzekowicach dziś już śladu nie ma. [przypis autorski]

<sup>73</sup>tabliczka z rysikiem — dawniej zestaw złożony z rysika i łupkowej, ścieralnej tabliczki służył do nauki pisania i rachowania uczniom początkowych klas w szkołach elementarnych (podstawowych); zeszytów oraz maczanych w atramencie piór używano dopiero w następnych latach nauki. [przypis edytorski]



Pracy więc miałem jak na swój wiek dużo, i to ciężkiej pracy. Toteż prawdziwą dla mnie wówczas rozkoszą było wymknąć się w upatrzonej chwili z domu i pohasać z rówieśnikami na pobliskim błoniu lub w polach, co znów rodzicom nie podobało się i nieraz z tego powodu karcili mnie, a do nauki popędzali. Myślę, że taką przesadną troskliwość o naukę dziecka stosują z reguły niejedni ojcowie, co jest wielkim błędem. Osłabia to bowiem energię dziecka, upośledza nie tylko fizycznie, ale i umysłowo, doprowadza wreszcie do stanu apatii. Ale dla mnie, jako zmuszonego żyć w grobowej samotności, był ten przymus męką, tym więcej że w pracy się nie leniłem, a do nauki wielkie zamiłowanie miałem. Szkodliwym dalej wynikiem tego przymusu było i to, że nie mając możliwości częstszego przebywania w gronie rówieśników i poswawolenia czy pobawienia się z nimi, żyłem w milczeniu, co znów pociągało za sobą stopniowo zanik mowy.

Niechże więc rodzice, których dzieci obdarzył Bóg zdolnościami umysłu i rozpałił w nich żądzę zdobycia nauki i wiedzy, nie zmuszają tych dzieci do bezustannego ślęczenia nad książką, i to wtedy gdy dziecko, czując się przemęczonym, pragnie wytchnienia. Niech im nie bronią swobodnego pohasania i poswawolenia w polu, uważając jedynie, by pustota taka nie przekraczała miary. Wszak ta ziemia, ta przyroda, jasnym słonecznym obłana światłem — to dłonią Stwórcy pisana wszechmądrości księga, z której każdy człowiek i wszelkie stworzenie czytać snadnie<sup>74</sup> potrafi. Mamy tego najlepszy dowód w naturze. Ptak żyjący na swobodzie przeczuje zmianę pogody, przeczuje zimę i bez przewodnika trafi do cieplejszych stron na drugą półkulę, gdy natomiast ptak urodzony i wychowany w klatce, wypuszczony w końcu na wolność zbłądzi i zmarnieje. I tak jest w całym świecie wszechstworzeń. Człowiek wychowany w wielkim mieście i wykształcony, jak to się mówi, „wszechstronnie”, jednak w młodości nieobcujący nigdy albo bardzo mało z przyrodą, wszystko będzie wiedział, lecz będzie to mądrość sztucznie nabyta — i niech no taki znajdzie się w opuszczeniu, bez potrzebnych środków do życia i wygod, wtenczas cała jego zdobyta wiedza nie na wiele się mu przyda i zmarnieć musi. Mamy tego nieustające dowody w zboczeniach i samobójstwach.

Proszę tylko nie rozumieć mnie źle! Do książek, do nauki, w ogóle do pracy nad swym umysłowym wykształceniem dążyć trzeba wszelkimi siłami, lecz jednocześnie nie zaniedbywać poznania także księgi wszechmądrości Bożej — ziemi, przyrody. Gdyż nic tak jak częste obcowanie z przyrodą nie ułatwia nam zdobycia wiedzy i zapewnienia sobie tak fizycznego, jak i duchowego zdrowia, bez którego człowiek, choćby był jak Krezus<sup>75</sup> bogatym, a jak Salomon<sup>76</sup> mądrym, nigdy nie będzie w swym życiu prawdziwie szczęśliwy.

### III

*Przeprowadzka za kordon. W Świerczynie. W cukrowni. Szkoła w Popielnikach. Przeprowadzka do kamienicy. Uproszczona metoda nauki. Praca w polu. Krzyżyki na kurbanach.*

W rok może po wypadku, który mnie o kalectwo przyprawił, ojciec wybrał się w podróz do Królestwa Polskiego<sup>77</sup> celem wyszukania sobie odpowiedniego zajęcia, gdzie bał przez czas coś całego roku, nadsyłając stamtąd od czasu do czasu matce trochę zarobionego grosza, co wszakże na wyżywienie nas wszystkich, w domu pozostałych, nie wystarczało i przez cały ten czas nieobecności ojca musiałem zarabiać, oprowadzając ludziom obrazki, a któremu to zajęciu oddawałem się dzień po dniu, nie mając nawet czasu książki wziąć do ręki.

Ojciec tymczasem otrzymał w Królestwie posadę gajowego, a przyjechawszy po roku do domu, zabrał nas wszystkich za kordon na nową siedzibę. Tu już życie stało się zno-

<sup>74</sup>snadnie (daw.) — łatwo, bez trudu. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>Krezus (595–546 p.n.e.) — król Lidii słynący ze swojego wielkiego bogactwa; jego imię jest obecnie synonimem bogactwa. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Salomon — biblijny król Izraela, słynny z mądrości. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>Królestwo Polskie — państwo utworzone na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego z terenów dawnej Rzeczypospolitej pod zaborem rosyjskim, połączone unią personalną z Imperium Rosyjskim, istniejące w latach 1815–1918; granica pomiędzy Królestwem Polskim a Galicją, wchodzącą w skład austriackiego państwa Habsburgów, przebiegała wzdłuż Wisły, od Krakowa do ujścia Sanu pod Sandomierzem, i na póln.-wsch. od Doliny Dolnego Sanu. [przypis edytorski]

śniejszym, pracy jednak i na tym miejscu nigdy mi nie brakło, a lubo<sup>78</sup> cięższa była niż dotąd, to w każdym razie dużo znośniejsza z tego względu, że tu więcej pod otwartym niebem w lesie pracowałem.

Wraz z mieszkaniem dla gajowego przeznaczonym objęliśmy w użytkowanie prócz kawałka łąki trzy morgi pola ornego, które z karczunku powstało. Pniaków po wyciętych drzewach było na tym polu dość; po zbiorze z pola plonów pomagałem ojcu pniaki te wykopywać. W stosownej porze zbierałem wraz z braćmi w lesie poziomki, których było w bród i jagody te zanosiliśmy ze starszym bratem do niezbyt odległej osady fabrycznej na sprzedaż. W zimie, wzięwszy siekiery i piłę, z ojcem i matką szedłem do lasu ścinać pojedyncze uschłe drzewa, które się piłowało, rąbało i w sągi układało, za co od zarządu lasu osobne wynagrodzenie ojciec pobierał. Tylko podczas zamieci i silniejszych mrozów siedziałem w domu, lecz i tu nie próżnowałem, oprawiając obrazki. W wyjątkowo wolnych chwilach strugałem kozikiem i robiłem klatki dla szpaków i kosów, za którymi w porze wylęgu rad na drzewa się wspinałem, a oswojone szalenie lubiłem.

W tej to Świerczynie wyciągałem z komórki stare drukowane kartki gazet, czy też książki, jakie przy przeprowadzce z Małopolski tu się dostały, i odczytywałem. Poza czytaniem odczuwałem potrzebę także pisania; wykradałem więc ojcu świstki białego papieru i wypisywałem na nich to, co w książce lub starej gazecie przeczytałem, a co mi się najwięcej spodobało. Prócz rzeczy wyczytanych zapisywałem i to, co z minionych lat pamiętałem. Były więc w moim kajecie takie pieśni jak: *Polak nie sługa, Boże Ojczy* itp. Ale kajet ten wpadł przypadkowo w ręce ojca, który nakazał go spalić, starszemu zaś bratu polecił wytłumaczyć mi, iż rzeczy podobnej treści ani pisać, ani też wymawiać głośno tutaj nie można, gdyż to grozi nam wszystkim ciężkimi karami. Skutek jednak był ten, że odtąd tym ciekawiej za tymi zakazanymi kartkami myszkowałem i je czytałem.

Nareszcie ojciec, snąc nie chcąc mnie pozbawiać przyjemności czytania, przywiózł raz z Kraśnika dwie nowe książki. Treść tych książek była całkiem inna od tego wszystkiego, co dotychczas mogło wpaść w moje ręce. Były to mianowicie naukowe dziełka Kazimierza Promyka<sup>79</sup>. Jedna z nich nosiła tytuł *Ciekawe zjawiska w świecie*; tytuł drugiej książki wyszedł mi z pamięci. Później przyniósł ojciec wypożyczoną gdzieś książkę z życiorysami starożytnych mędrców greckich; książka wcale ładna, lecz dla mnie wówczas mało zrozumiała, niewiele zatem z niej skorzystałem.

W miejscowości tej było nam wcale znośnie. Szczególnie las ze swą zielenią i balsamiczną wonią drzew oraz różnorodnym ptactwem posiadał dla mnie niewypowiedziany urok. Z jakąż rozkoszą zapuszczałem się w tę gęstwą drzew, między którymi przeważał smukły świerk, od czego właśnie las ten nosił nazwę Świerczyny. Tu oddychałem pełną piersią, tu odczuwałem w całej pełni siłę życia. Niestety, ojciec na tym miejscu nie utrzymał się dłużej jak dwa lata. Musieliśmy się zatem z tego miłego zakątka przeprowadzić do sąsiedniej osady, Zakrzówka, gdzie była fabryka cukru.

Mieszkania w tej osadzie fabrycznej, dla ludności robotniczej przeznaczone, miały wygląd zwykłych szop, a pobudowane były długim rzędem. Odległość między poszczególnymi mieszkaniami wynosiła około 10 metrów bieżących. Sposób, w jaki baraki te pobudowano, był całkiem prymitywny. Do wkopanych w ziemię słupów, szkielet ścian stanowiących, poprzybijano poziomo na zewnątrz i na wewnątrz szczelnie do siebie przylegające deski tak, że każda ściana, na podobieństwo wąskiej, długiej a wysokiej paki, wewnątrz była próżna. Próżnię tę dla zabezpieczenia mieszkań przed zimnem zapelniono ziemią. Na pokrycie dachu składała się tarcica i papa. Rozmiar baraku wynosił w przybliżeniu: długość 16 m, szerokość 8 m, przez sam zaś środek budynek ten przepierzony był deskami, przez co powstały dwie jednakiej wielkości ubikacje<sup>80</sup>. Każda ubikacja miała po jednych drzwiach w ścianie poprzecznej (prosto z podwórza, bez sieni) i po cztery okna w ścianach podłużnych; na samym zaś środku stał jeden większych rozmiarów piec kuchenny. Jedna ubikacja przeznaczona była dla czterech rodzin, czyli że jeden taki barak zamieszkiwało osiem rodzin, każda w osobnym kącie. Mieszkania te odznaczały się

Książka

Las

Dom, Robotnik

<sup>78</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>Promyk, Kazimierz (pseud.), właśc. Konrad Prószyński (1851–1908) — polski działacz oświatowy, pisarz, wydawca, autor elementarzy; propagował nauczanie indywidualne metodą samokształcenia, położył zasługi w upowszechnianiu czytelnictwa na wsi. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>ubikacja (daw., z łac.) — pomieszczenie. [przypis edytorski]

zazwyczaj chłodem, wilgocią i zaduchem, toteż zabieglwsi mieszkańcy radzili sobie w ten sposób, że w kącie swym stawiali z desek dwie ścianki o kącie prostym, urządzali drzwi, kładli w miarę możliwości podłogi i tym sposobem oddzielali się od reszty współmieszkańców osobnym pokoikiem, kuchnię jedynie mając wspólną. Inni zaś budowali w swych kątach olbrzymie prycze na wysokość i metra i na tych pryczach umieszczali łóżka, stół, stolki, zabezpieczając się w ten sposób od przykrego chłodu, robactwa i wszelkich nieporządków. W jednym z takich baraków wyznaczono nam mieszkanie.

Pierwszą moją czynnością, jaką w fabryce mi wyznaczono, było wybieranie resztek buraków ze śmieci, za dziennym wynagrodzeniem 20 groszy. Po dwu tygodniach umieszczono mnie przy elewatorze, donoszącym buraki na górę do tak zwanej płuczki, tj. beczki żelaznej, z której już oplukane na czysto buraki szły dalej do krajania. Tu już byłem na zmianę, tzn. przez tydzień pracowałem w dzień, przez drugi w noc itd., z płacą 40 groszy.

Jakkolwiek w fabryce tej nikt mi kariery nie wróżył, stała bowiem na przeszkodzie moja głuchota, przecież zarządzający fabryką, poznawszy mnie bliżej, coraz to nowe a odpowiedzialniejsze zajęcia mi przydzielali i doszło w końcu do tego, że powierzono mi kierownictwo olbrzymią, dwukołową machiną, pomimo że na stanowiska takie wyznaczano tylko ludzi z rutyną i w wieku dorosłym. Dziś jeszcze, gdy chwilę tę sobie przypomnę, na śmiech się mi zbiera, jaki to huczek ta moja ostatnia „nominacja” w całej osadzie fabrycznej wywołała; rodzice zaś moi na pierwszą o tym wieść, pełni niepokoju, jęli mnie przestrzegać i namawiać, bym prosił zarząd o wyznaczenie mi innego stanowiska, obawiali się bowiem nieszczęśliwego wypadku, o jaki zresztą nietrudno było. Uspokoilem ich jednak i na wyznaczonym miejscu do końca wytrwałem.

Życie w fabryce upływało mi rozmaicie. W czasie ogólnego ruchu, tj. od początku listopada, kiedy fabrykę zasilać zaczęto burakami, aż do zupełnego wyczerpania tegoż produktu, co następowało koło marca, zależnie od tego, na jak długo zapas buraków starczył, zajęty byłem w fabryce. Po zastanowieniu<sup>81</sup> zaś ruchu fabryki i gruntownym wyczyszczeniu i uporządkowaniu wewnętrznego jej urządzenia pracowałem w polu pod uprawę buraków przeznaczonym.

Jakkolwiek robotnicza ludność fabryki w rozmaitej porze miała w pracy wynikłą z natury rzeczy dłuższą lub krótszą przerwę, ja przecież wypoczynku prawie nigdy nie znałem. Gdy bowiem na większe święta, jak Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, ruch w fabryce ograniczono już to dla dania ludności możliwości odpoczynku świątecznego, już toż z konieczności wyczyszczenia maszyn, rezerwuarów itd., musiałem wtedy iść do tzw. parowni i — jak tam pospolicie w mowie było — kuć kotły i popiół z pieców pod tymiż kotłami wygarniać.

Parownia był to rodzaj dużej hali, a przylegała ona bezpośrednio do głównego budynku fabryki. Służyła zaś — jak sama nazwa wskazuje — do wytwarzania pary, która przeprowadzona rurami w całej fabryce, w ruch maszyny wprawiała. W środku tej parowni stał olbrzymi, w formie dnem do góry wywróconej paki, piec. W piecu tym mieściły się wyżej kotły wielkie, niżej zaś pod każdym po dwa kotły mniejsze, łączące się z sobą w tyle na kształt litery U, a zwano je „bulierami”. Każdy kocioł osobno z dwoma bulierami złączony stanowił oddzielną całość. Frontowa strona pieca zaopatrzona była w gorze w termometry dla rozeznania siły pary, na dole zaś w murze pieca buliery posiadały silnie zaszpuntowane otwory średniego człowieka w pasie. W tylnej stronie pieca pod kotłami urządzone były paleniska. By więc tak kotły, jako też buliery mogły być należycie ogrzane, były pod nimi próżnie na całej ich długości, a silny ciąg powietrza wszystkie te próżnie zasypywał popiołem, który od czasu do czasu trzeba było usuwać.

W kotłach, a szczególnie w bulierach rozgotowana woda wytwarzała gruby, silnie do ścian przylegający, twardy jak kamień osad. Chcąc zatem kotły i popielniki wyczyścić, zawsze jeden piec pozostawiono nieczynnym, wodę z kotłów spuszczone, po czym odszpuntowawszy otwory, ochładzano wnętrza kotłów. Wtedy dopiero, zrzuciwszy z siebie ubranie i ściągawszy bieliznę, tak w adamowym stroju, zaopatrzone w mały, wielkości zwykłego młotka oskard i olejną lampę, wraz z innymi dwoma chłopakami wciskałem się ciasnym otworem do buliera, gdzie skuleni i zgarbieni, gdyż wielkość średnicy usiąść swobodnie nie dozwalała, zawzięcie kuliliśmy oskardami w otaczającą nas ciasnym swym

Robotnik

Praca

<sup>81</sup>zastanowienie (daw.) — stanięcie, zatrzymanie się. [przypis edytorski]

pierścieniem żelazną beczkę, aż iskry sypała, a pył odbijanego osadu, parny, mulasty wyziew i czad kopcącej lampy przyprawiły nas o zawrót głowy.

Po należytych wykuciu kotłów zabieraliśmy się dopiero do usuwania popiołu ze znajdujących się pod kotłami próżni. Zaopatrzywszy się w małe, drewniane łopatki, coś w rodzaju kijanki, jakich praczki na wsi używają, wciskaliśmy się najwyżej w czterech, jeden po drugim, do tych swego rodzaju katakumb, których wysokość zaledwie leżeć nam dozwalała. Do czynności tej nie rozbieraliśmy się prócz zdjęcia z nóg obuwia, chropawość bowiem muru na spodzie i po bokach, a nad nami żelazo lutowanego w metrowych odstępach kotła, nadto miejscami żuźle szkła, silnym gorącym z popiołu wytworzone, groziły pokaleczeniem, a prócz tego wszystkiego trudno stygnące, gorące mury popielników. Częstokroć tak parzyły, że tylko leżąc na grubej warstwie popiołu, można było w tych piekielnych norach z wielką biedą wytrzymać. Pracę mogliśmy wykonywać, tylko czolgając się na brzuchu.

I pomimo takiej mordowni nie traciliśmy animuszu. Gdy nam gorącość pieca i zmęczenie zanadto dokuczyło, czolgaliśmy się naprzód ku szybrowi, gdzie był dół, w którym swobodnie można się było poruszać, a temperatura była znośniejsza. Tu już nikt podpatrzyć nas nie mógł. Wydobywszy zatem zabrane z domu karty, wynagradzaliśmy sobie trudy graniem w „durnia”. Najczęściej jednak urządzaliśmy w jamie takiej — szkołę, w której ja zajmowałem poczesne stanowisko bakalarza<sup>82</sup>... Usadowiwszy się odpowiednio, przed oczyma towarzyszków kreśliłem na cienkiej, równej warstwie popiołu pojedyncze litery alfabetu, potem sylaby, później zaś wyrazy, które przygodni uczniowie moi uczyli się rozoznawać, odczytywać, a w końcu przepisywać — naturalnie palcem lub gwoździem na warstwie popiołu. To znów opowiadałem rówieśnikom różne z książek wyczytane historie, którym się oni z prawdziwym skupieniem ducha przysłuchiwali. Nieraz tej oryginalnej szkole oddawaliśmy się z takim przejęciem, że aniśmy się spostrzegli, jak szybko czas upływał, i dopiero nadzorca nasz — który, mówiąc nawiasem, do naszego pieca nigdy się nie wczolgał, główną zaś czynność swą sprawował przy doglądaniu temperatury pary — zauważywszy, że za długo nie pokazujemy się, podnosił nieznacznie szyber... Wtedy gwałtowny ciąg powietrza momentalnie gasił nam kaganki i zasypywał nas tumanem popiołu. Za czym razem zrywaliśmy się, a zamykając oczy i zatykając dłońią, nos i usta, czolgaliśmy się na wierzch, gdzie otrzepawszy z siebie popiół, szliśmy, wyglądający jak nieboskie stworzenia, do domu, przedstawiając swym zamorusaniem ciekawe widowisko. Trzymając z konieczności podczas pracy w popiele usta zamknięte, oddychaliśmy jedynie nosem, pod którym ciepły oddech, kropiąc się, przyczyniał się do łatwiejszego osiadania kopci z lampy i kurzu, toteż przechodnie pokpiwali z nas, mówiąc, że „czarna krew” z nosa nam ciecze.

Przyszedłszy do domu i spożywszy naprędce skromną jak zawsze wieczerę, klękałem do pacierza, po czym rozebrawszy się, bezwładnie niby kłoc upadałem na pościel i zaraz zasypiałem, by znów o czwartej do dnia wstawać i ruszać do fabryki do dalszej pracy.

W międzyczasie przeprowadziliśmy się z opisanych poprzednio baraków do wygodniejszego mieszkania w kamienicy na piętrze. Mieszkanie to zajmował jeszcze lokaj dyrektora fabryki, Wojciech D., człowiek z niepoślednim wyszkoleniem, dość młody i przystojny, wraz z nadobną żoną. Poróżniwszy się z dyrektorem, utracił służbę i zmuszony był oglądać się za nową posadą; tymczasem mógł jeszcze zostać kilkanaście dni w dotychczasowym mieszkaniu.

Mieszkanie to składało się z jednej, ładnej zresztą stancji, spiżarki i sionki, w której to ostatniej ubikacji trzymano wiaderko z wodą do picia i parę kuchennych sprzętów. Przy przeprowadzce do tego nowego mieszkania nie byłem obecny, w fabryce pracując. Przyszedłszy późnym wieczorem z fabryki, gdzie właśnie kułem kotły, po spożyciu wieczerzy i zmówieniu pacierza, śmiertelnie pracą znużony, położyłem się w łóżko między spoczywających w nim już obu braci.

W nocy zbudziło mnie silne pragnienie. Zszedłem więc z łóżka cichutko, by drugich nie budzić, i macając po ścianach, trafiłem do drzwi, za które wszedłszy, szukałem wody. Obmacawszy parokrotnie dokoła przy ścianach i nie znalazłszy, czegom szukał, dałem w końcu spokój i wróciwszy do stancji, odmacałem łóżko, a odrzuciwszy ze śpiących koł-

Dom

<sup>82</sup>bakalarz (daw.) — nauczyciel szkoły elementarnej. [przypis edytorski]

drę, włąkę między nich, ale ci jęli zrzuconą z nich pierzynkę nerwowo naciągać, usiłując równocześnie z łóżka mnie zrzucić. Co to ma znaczyć?... Dotykam dłonią jednej twarzy i o!... namacałem wąsy... Macam na drugą stronę — i wymacałem... wypukłe niewieście piersi... Laboga!... a dyć<sup>83</sup> ja, kołując w komórce, straciłem świadomość kierunku i zamiast w swoje — między braci w łóżko między państwo Wojciechów wlałem... Wyskoczyłem z tego łóżka i trafiwszy do braci, skulony z ukrytą strusim sposobem głową, w siedmiu potach przeczekałem kilka minut, po czym wstawszy jak najciszej, wciągnąłem buty na nogi, ubrałem się i na palcach, trafiwszy już do właściwej sieni, wyszedłem na dwór i pognałem do fabryki.

W następnym wieczór postawił mi pan Wojciech pytanie: „Czego to Ferdynand szukał u nas w komórce i na cudzym łóżku?”...

Zajęcie moje w fabryce właściwej było już inne. Praca nie była ciężka, wymagała za to czujności. Tu, czy to przy regulowaniu temperatury przy „dyfuzorach”, czy też przy doglądaniu rezerwuarów, przeważnie przechadzałem się. Ruch, wir kół, stuk maszyn na dole, wszystko to wpływało dodatnio na usposobienie. Tu miałem możliwość częstszej wymiany słów i zdań z najbliższymi towarzyszami pracy.

Razu jednego najbliższy mój towarzysz w fabryce, imieniem Kostek, wspominał mi, że w dużych miastach są szkoły nawet dla głuchoniemych, w których to szkołach uczniowie uczą się rozmawiać „na migi”. Abecadła migowego mój opowiadacz nie znał, co wszakże nie przeszkodziło nam własnego pomysłu alfabet ułożyć i tegoż jeszcze dnia obaj na pamięć wyuczyliśmy się go. Odtąd wzajemne porozumiewanie się przeszło nam łatwiej: co nadto miało i tę dobrą stronę, że gdy z powodu huków i stuków w fabryce trza było rozmawiać głośno, my obaj nawet na odległość z łatwością na migi porozumiewaliśmy się. Nowy ten sposób porozumiewania zainteresował wszystkich naszych rówieśników, tym więcej, że obaj z Kostkiem mogliśmy śmiało w ich obecności różne kawały o nich sobie wykladać, czego oni nie rozumiejąc, a domyślając się tylko po naszych minach, zapragnęli koniecznie takiej na migi rozmowy od nas się nauczyć. W tym jeno<sup>84</sup> była bieda, że większość towarzyszy nie tylko pisać, ale i czytać nie umiała. Ciekawość przecież i te trudności przemogła. Nauczył się jako tako jeden, potem drugi i trzeci, od nich zaś dalsi koledzy — i przyszło w końcu do tego, że ci chłopcy, do niedawna najmniejszego pojęcia o literach niemający, zabierali się teraz do nauki czytania i pisania, ku czemu znajomość alfabetu migowego, jaki z Kostkiem ułożyliśmy, niby czarodziejskie zaklęcie drzwi sezamu wiedzy im otwarła.

Daj Boże, by to wspomnienie dostało się do rąk dawnych moich kolegów z cukrowni zakrzowieckiej, a przynajmniej do rąk dzieci ich, które zapewne musiały od ojców słyszeć, w jaki sposób przyszli oni do przyswojenia sobie sztuki czytania i pisania. Jest to najpiękniejsze z życia mego wspomnienie, a spodziewam się, że i dla nich tak samo miłym ono będzie.

Po zupełnym zastanowieniu ruchu w fabryce i porobieniu w niej porządków chodziłem do robót w polu, gdzie czynność rozpoczynała się od roztrząśnięcia obornika, a po należytych zoraniu roli przystępowało się do sadzenia buraków. Pielęgnacja buraków, polegająca na motyczkowaniu, zasilaniu saletrą i popiołem, wreszcie parokrotnym pielieniu, wynoszeniu chwastów z bruzd, podorywaniu i na koniec usuwaniu ukazujących się wyrostków, trwała z przerwami prawie do września.

Robota w polu była dla mnie znośniejsza, tu bowiem na łonie natury i ciała rzeźwiej i duszy weselej. Do motyczkowania i pielienia szły zazwyczaj kobiety, dziewczęta i chłopaki wyrostki. Z chłopaków na wzmiankę zasługuje rówieśnik mój Pietrek Stankiewicz, do pracy chłopak nie bardzo skory, za to do figłów jedyny. Stąd to nadzorca nasz, pan Grudzień, który był wielce dla nas pobłażliwy, przydzielał Pietrka do wynoszenia z bruzd chwastów. Figle tego psotnika skrupiały się najwięcej na pracujących z nami dziewczętach. Raz na robocie oświadczył Pietrek wobec wszystkich jednej z najładniejszych dziewcząt, że kiedy tylko zechce, to ją pocałuje. „Niedoczekanie twoje — woła zaintrygowana tym nieoczekiwanym wyznaniem dziewczyna — prędzej niż ty mnie, pocałuje ciebie moja motyczka”. — „No, no — Pietrek na to — zobaczymy, czyja będzie

Pocałunek

<sup>83</sup>dyć (gw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

prawda”. I zabierał się niby do roboty, schylając się i nabierając do zawieszonoego na szyi płóciennego fartucha kupki chwastu, a upatrzwszy stosowną chwilę, skradał się cicho nikiej<sup>85</sup> kot, a przyskoczywszy z tyłu do Antosi i raptownie wpół ją objąwszy, wycisnął na jej policzku gorący casus, że jeno mlasło, po czym w zajęczych susach dał drapak. Oj, byłoż to, było wesołości a serdecznego śmiechu co niemiara! Śmiałyśmy się wszyscy; śmiał się poczciwy nasz nadzorca, śmiała się sama, w tak niezwykły sposób adorowana dziewczyna, śmiał się Pietrek.

Ludność robotnicza tej naszej osady składała się z różnej narodowości i różnych stanów. Byli Rusini<sup>86</sup> prawosławni, Niemcy protestanci, Żydzi, przeważali jednak Polacy, a między nimi trafiało się wielu z wyższym wykształceniem, a wśród nich pewien szlachcic, niejaki Kochański, który straciwszy całe swe mienie, a nie chcąc żebrać jałmużny u familii, pracował wraz z nami jako zwykły robotnik, przez wszystkich lubiany.

Było tu także kilkoro ludzi z Małopolski, a między nimi Jan Krempa z powiatu mieleckiego, serdecznie z nami zażyły. Mimo że był analfabeta, odznaczał się Krempa bystrym na sprawy poglądem, a poza tym żywym temperamentem. Ten temperament i stąd częstokroć poza zwykłą miarę posunięta śmiałość sprawiły, że musiał się z osady fabrycznej wyprowadzić. A było to tak: Chodził Krempa do pobliskiego, własnością fabryki będącego lasku, gdzie wykopywał pojedyncze pniaki po ściętych sosnach, rąbał je i w sęgi<sup>87</sup> układał. Była to praca żmudna i niełatwą było rzeczą każdy odłam pniaka na pomniejsze części rozrąbać. Toteż gdy jeden z lustrujących robotę starszych urzędników zauważył zbyt grube w pólśagach ułożone kawałki, zbeszał słownie Krempę, oświadczając w dodatku, że za tak niewłaściwie wykonaną robotę zapłaci rubla kary. Poirytowany tym Krempa rzucił urzędnikowi prosto w twarz słowami: „Rubla kary, psiakrew, zapłacę, a za drugiego kupię pistolet i palnę ci w łeb”... Tym się biedak pozbawił i zajęcia i bezpłatnego mieszkania w osadzie fabrycznej i przeprowadził się do przyległej wsi.

W tej osadzie fabrycznej łatwiej już było o książki, ma się rozumieć, „legalne”. Dostał mi się raz do rąk *Bajarz polski*<sup>88</sup>. Co to za śliczna, a dla mnie wówczas wprost nieoceniona książka! Pełna dziwów, „jakich ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało”. A lubo były to tylko baśnie, przecież o tendencji szlachetnej, pouczające, że każdy dobry uczynek i poświęcenie nagrody sowitej w tym jeszcze życiu się doczeka. Z tego to *Bajarza* najwięcej czerpałem materiał do opowieści nie tylko dla rówieśników, ale i dla starszych towarzyszy pracy. Bywało, że znajdę się w ich gronie, wtedy oni z prośbą: „Gadaj przepowiedkę!”. I słuchali tych opowieści z roziskrzonym okiem, a od czasu do czasu wyrwały się z ust słuchaczy moich uwagi, że „doprawdy warto nauczyć się czytać”.

Na skraju należących wówczas do fabryki pól, gdzieśmy zazwyczaj w każde lato pracowali, tuż przy samej drodze do Majdanu prowadzącej, po prawej stronie, w miejscu, gdzie bierze swój początek przerynający te pola zadrzewiony wądół<sup>89</sup>, zainteresowały mnie dwa małe drewniane krzyżyki, na podłużnym kopczyku postawione. Na krzyżykach tych prócz wyciętej liczby 1863 żadnego napisu nie było. Ponieważ podobne krzyżyki i gdzie indziej spotykałem, zaciekawiony, zapytałem raz Kostka — który, jak i jego rodzice, prawosławną wyznawał wiarę — co by te liczby oznaczały, na co tenże krótko odpowiedział: „Od powstania”.

- Od powstania... a co to znaczy powstanie?
- Wojna.
- Wojna? A z kim?
- Ze zbójami, których tu wtedy dużo było.
- Ze zbójami? — wypytuje coraz bardziej tą niezwykłą opowieścią zaciekawiony.
- Tak, ze zbójami. Polaki były zbóje.
- Polaki zbóje!? — „Aha — myślę sobie — przeciemy cię złapał!”

<sup>85</sup>nikiej (daw., gw.) — niczym, tak jak. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>Rusin (daw.) — dziś: Ukrainiec, względnie Białorusin. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>sęgi; daw., gw.: *sęga* — stos drewna; także miara objętości drewna. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*Bajarz polski* — popularny czterotomowy zbiór „baśni, powieści i gawęd ludowych”, zawierający także przetworzone utwory literackie, wydany przez chłopskiego samouka Antoniego Józefa Glińskiego (1817–1866), opublikowany w 1853, wielokrotnie wznawiany. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>wądół — wąska, głęboka dolina; wąwóz. [przypis edytorski]

Później dowiedziałem się skądinąd tyle tylko, że krzyże owe postawiono ku pamiętce tych, którzy w walce z Moskalami o wolność Polski na tym miejscu polegli.

Jakkolwiek cała zasłyszana o owych krzyżach historia była wówczas dla mnie niewyraźna, mglista, przecież w mym sercu zbudził się od razu jakiś pietyzm dla tych kurhanów. Ludzie, idąc drogą, mijali te krzyżyki obojętnie, tak jak gdyby żadnego znaku tu nie było. Ja jednakże kiedy się tylko ku owej mogiłce zbliżałem, oczy mimowolnie ku niej zwracałem i głowę odkrywałem. Pewnego ranka po nocy burzliwej, mając kurhanek ten mijając, zauważyłem ze smutkiem, że jeden z krzyżyków leżał złamany. Następnego dnia, idąc tą samą drogą, ujrzałem ku wielkiej swej radości na miejscu złamanego stojący nowiutki krzyżyk, a na nim cyfra 1863. „Chwała Bogu — pomyślałem — biją jeszcze serca życzliwe dla tych poległych”.

#### IV

*U znachora. Pielgrzymka do Bychawy. Śmierć dziadka Łukasza. Przeprowadzka pod Bełżycę. Na karczowisku. Nazad do Zakrzówka. Z Zakrzówka pod Chełm. Praca w lesie. W bucie szkła. Pożegnanie Chełmszczyzny.*

Stosunek między mną a licznymi kolegami z fabryki był szczerze przyjacielski i nieraz tak oni, jako też i ich ojcowie użalali się nad kalectwem moim; ja zaś, ciągle przez ojca nadzieją pocieszany, wierzyłem święcie, że los mój wkrótce się odmieni. Toteż pewnego lutowego dnia ucieszyłem się, usłyszawszy od starszego brata, że jutro przede dniem pojedziemy wraz z ojcem do pewnego sławnego doktora w okolicy, co „leczy wszelkie choroby”.

Nazajutrz wstaliśmy do dnia, a spożywszy wcześniej przez matkę przygotowane śniadanie i ciepło się ubrawszy, oczekiwaliśmy na konie i sanki. Jakoż wkrótce przed nasze mieszkanie zajechał dobrze znajomy obywatel z Zakrzówka, Hamerski, kowal z zawodu. Wzięliśmy więc przygotowane na drogę węzłki z chlebem, ojciec zaś sporą flachę wódki, bez którego to specjału sławny ów lekarz, jak mnie brat objaśnił, wizyt nie przyjmuje — i w imię Boże, w drogę!

Jak zwała się wieś, do której jechaliśmy, w którym kierunku i jak daleko leżała, i wreszcie jak się nazywał ów cudowny doktor, tego wszystkiego niestety nie powiedziano mi; dość będzie nadmienić, że wyjechawszy z domu przede dniem, do celu naszej podróży przyjechaliśmy dopiero przed samym zmierzchem. Zajechawszy przed rezydencję doktora, niemiłe uderzony zostałem widokiem jej obskurności i zaniedbania. Była to najpodlejsza stara, szczupła wiejska chata.

Wszedłszy do izby, zostaliśmy naszego jegomościa, w wieku około 50 lat, usadowionego na ławie plecyma do ciepłego pieca; połowica zaś jego, siedząc na krawędzi niedbale zaścielonego łóżka, zajęta była czynnością łatania starego męzowskiego kozucha. Ubiór gospodarza stanowiła brudna, sznurkiem pod brodą spięta koszula, zza której niedyskretnie wyglądały kosmate piersi, i z takiegoż materiału portasy. Wzrost niski, krępy, tusza dobra, czupryna bujna, na której gęsto osiadły puch kazał się domyślać, że grzebień jest jej posiadaczowi nieznany. Twarz rozlana, nieco obrzękła i ogórkowego kształtu, o fioletowym zabarwieniu nos mówiły dobitnie o wstręcie owego eskulapa<sup>90</sup> do pracy fizycznej, a pociągu do kieliszka.

Na nasze przybycie i pochwalenie Pana Boga gospodarz ani myślał zmienić wygodnej dla siebie pozy przy piecu, a tylko odpowiedział „Na wieki”. A kiedy ojciec przedstawił mu cel naszego przybycia, które poprzedziła głośna na okolicę sława jego, on, nie ruszając się nawet, odpowiedział tylko: „To się wie, to się wie!”. Dopiero ukazanie się na stole wydobytej przez ojca flaszki obojgu gospodarstwu roziskrzyło oczy. Poszła kolejka, do której rzecz prosta ja z bratem nie należałem, potem druga. Gospodarz stał się rozmowniejszym i jał wypytywać o miejsce naszego zamieszkania i zajęcie, wreszcie o chorobę i jej przebieg, na co otrzymawszy potrzebne wyjaśnienia, przystąpił do swych doktorskich czynności, zaczynając ode mnie. Skinąwszy, bym usiadł na podsuniętym stołku, dał mi w rękę zapaloną gromnicę i kazał się przeżegnać. Przeżegnałem się i nie dlatego, że tak

<sup>90</sup>eskulap (żart.) — lekarz (od zlatynizowanej formy imienia gr. Asklepiosa, boga lekarzy). [przypis edytorski]

znachor chciał, lecz żeby wyjednać dla siebie opiekę opatrzości, gdyż całe to niezwykle zachowanie się owczarza poczęło mnie z równowagi wyprowadzać — a przeżegnałem się tak głośno i tak nabożnie, że u wszystkich obecnych wywołało to głośną uwagę, naturalnie na korzyść „doktora”.

Rozpoczął się eksperyment. Znachor, włożywszy mi do uszu końce swych obu wskazujących obleśnych palców, z lekka je naciskał; potem odjąwszy je, przycisnął do uszu moich grube swoje wargi i chuchał, szeptał, potem krzyczał w nie, sprawiając mi tym nieznośne w uszach łaskotanie, wreszcie obnażywszy mi pierś, uszy swe do niej przykładł i niby słuchał jakiegoś tajemniczego głosu, naciskając mi ponownie grubymi paluchami otwory uszne, podczas której to ceremonii zbierała mnie, oj! zbierała ochota skierować płomień trzymanej świecy do rozczochranych kudłów na łbie kuglarza.

Załatwiwszy się w ten sposób ze mną, przystąpił znachor do zbadania brata, po czym wydał swą opinię i przepisał ustne recepty. Mnie mianowicie przepowiedział powrót do zdrowia za lat cztery, a polecił, by mi przez ten czas kładziono w uszy mózg zajęczy; włosy zaś miałem koniecznie nosić długie, na ramiona spływające, a to gwoli utrzymania w cieple tak głowy, jako też uszu... Jaką receptę dał bratu, tego już nie pomnę.

I tu przyznać znachorowi trzeba, że urządził cię bardzo sprytnie i dowcipnie. Po wybadaniu bowiem, jakiemu zajęciu się oddaję, wiedział już doskonale, że noszenie aż na ramiona spływających włosów przez tak długi czas będzie dla mnie ze względu na sposób mych zajęć w fabryce wprost niemożliwe. Znachor zaś w danym razie łatwo się wykreśli, że dlatego przepowiednia jego nie sprawdziła się, iżęśmy się do udzielonych przezeń rad ściśle nie zastosowali, za czym i doktorska jego sława nic nie ucierpi.

Innym razem (jeszcze przed opisaną co dopiero historią ze znachorem) wzięła mnie z sobą pobożna moja matka za gromadką kobiet do oddalonego dwie mile<sup>91</sup> miasteczka Bychawy, poza którym to miastem na polu miało mieć miejsce według miejscowej legendy objawienie się Matki Boskiej na jednym z krzyżów i cudowne uzdrowienie jakiegoś pana.

Stanąwszy u celu, wpadła mi przede wszystkim w oczy niezliczona ilość płytkich podłużnych dołków, a poza tym całe legiony przekupniów i włóczęgów, przez którą to ciżbę ledwie przecisnęliśmy się. Oprócz dwu zwykłych, drewnianych dużych krzyżów nie było nic więcej takiego, co by o świętości miejsca wyraźnie świadczyło.

Upatrzywszy stosowne miejsce, wybrała matka łopatą podobny innym dołek, a poleciwszy mi legnąć na ziemi i ułożyć w dołku głowę, przykryła mi ją odkopaną z wierzchu darnią i czekaliśmy cudu. Lecz trudno. Łaskę Niebios nie w taki sposób się zjednywa, tym bardziej jeśli obok wiary w cuda Boże tak samo dobrze pokłada się wiarę w nadprzyrodzoną moc sprytnych oszustów, jak w opisaną ze znachorem sprawię, a z pielgrzymek takich zbierają obfite żniwo jedynie falangi<sup>92</sup> próżniaczych przekupniów i czeredy wałęsających się tam różnych podejrzanym indywiduów.

Wszystkie te niefortunne zabiegi za przywróceniem mi zdrowia miały poza stratą grosza jeszcze i tę, może najbardziej ujemną stronę, że niweczyły we mnie wiarę w odzyskanie kiedykolwiek słuchu.

W kwietniu 1883 r. przyniosła nam poczta list od stryja Walentego z Wielowci z wezwaniem, by ojciec „prędko przybywał do łoża umierającego ojca”. Rodzice natychmiast wybrali się w dziesięćmilionową podróż, którą dla braku wówczas drogi żelaznej przebyć musieli pieszo. Do Wielowci przybyli, niestety, za późno — już po pogrzebie dziadka Łukasza. Zmarł on 14 kwietnia 1883 r. w 65 roku życia, na zapalenie płuc. Osierocił troje drobnych dzieci z drugiej żony, której część posiadłości na Kępie testamentem wydzielił. Połowę tej posiadłości otrzymał stryj Walenty, stryj Franciszek dostał położoną nieco dalej morgę pola, ojcu natomiast, który przy skonięciu dziadka nie był, nie dostało się nic.

Coś w cztery lata pobytu naszego w Zakrzówku fabrycznym, ojciec dał się lekkomyślnie namówić przygodnemu faktorowi<sup>93</sup> do przeprowadzenia się w pobliże Bełżyc, gdzie według zapewnień tegoż faktora mieliśmy znaleźć byt znośny. Przeprowadzka nastąpiła

<sup>91</sup>*mila* — dawna miara odległości o różnej wartości; mila rosyjska oraz austro-węgierska to ok. 7,5 km. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*falanga* — w staroż. Grecji zwarty szereg ciężkozbrojnej piechoty; dziś przen.: zbity, zwarty szereg ludzi. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*faktor* (daw.) — pośrednik. [przypis edytorski]



u schyłku zimy, zdaje się 1885 roku. Dom, w którym zamieszkaliśmy, własność miejscowego dworu, stał na uboczu i służył na mieszkanie trzem rodzinom. W jednej izbie, sienią oddzielonej, mieszkał ów faktor z rodziną, w przeciwnej izbie mieszkała rodzina druga, alkierz zaś, do którego wchodziło się przez tę drugą izbę, mający jedno tylko okno w ścianie tylnej od pola, nam na mieszkanie służył.

Zajęciem naszym miała tu być samodzielna uprawa buraków cukrowych, na mającej się nam wydzielić cztero- czy pięciomorgowej przestrzeni pola dworskiego, wynagrodzenie zaś, jakie otrzymać mieliśmy, zależnym było od wyprodukowanej ilości buraków. Oprócz tego opał i ordynaria<sup>94</sup>. Na krótko po sprowadzeniu się tu ojciec, rozpatrzywszy się bliżej w położeniu, poznał poniewczasie, iż zostaliśmy haniebnie okłamani przez faktora, który działał tu jedynie we własnym interesie. Postanowił zatem ojciec, że przeniesiemy się nazad do Zakrzówka, dokąd też niebawem udał się celem uzyskania zezwolenia zarządu cukrowni na ponowne zamieszkanie w tejże osadzie, zabrawszy z sobą brata mego, Jasia.

Wspomniany dwór pod Bełżycami posiadał kilkadziesiąt morgów karczunku, z którego drzewo uprzątnięto. Na tej to nowinie odmierzano morgowe działki, które między potrzebujących pracy rozdzielano do skopania, płacąc za skopanie jednej morgi 25 rubli. I my też wzięliśmy do skopania jedną morgę. Podczas nieobecności ojca i Jasia, kiedy śniegi stopniały i ziemia obeschła, z matką i młodszym bratem, Frankiem, który do cięższej pracy nie był jeszcze zdolny, chodząc na naszą działkę, którą kopać można było jedynie ciężkimi, szerokimi motykami. Mnogość pniaków i korzenia, wreszcie kosodrzewina i inne krzaki czyniły pracę nad wyraz trudną i rychło przekonaliśmy się, że dwie pary słabych rąk niewiele tu dokażą. Dłonie nam popękały, na koniec poczęły krwawić i w końcu puchnąć, a całe ręce omdlewały.

Siedząc raz w domu, zauważyłem, jak matka skrzynię, w której bieliznę i lepsze ubranie przechowywała, przy pomocy kija przymierzała do okna. Na moje zapytanie, co robi, wzruszyła tylko ramionami. Pewnego, późnego już, a ciemnego wieczora, gdy zdawało się, że sąsiedzi nasi już śpią, rozległo się za naszym oknem pukanie; zwróciwszy za matką oczy w tę stronę — ujrzałem ojca, dającego ciche znaki. Mnie i Frankowi ubierać się matka kazała. Od razu zrozumiałem wszystko: mieliśmy stąd cichaczem uciekać, oknem sprzęty wynosząc, i dlatego to matka skrzynię do okna przymierzała, by się przekonać, czy przejdzie. Krok ten niezwykle tym się zaś tłumaczył, że do jawnego wyprowadzenia się dziedzic nie dopuściłby, mając do ojca pretensje za przewiezienie nas tu swymi końmi, za zużyty opał, mieszkanie, a nad tym wszystkim moralne zobowiązanie ojca do przyjęcia pracy, a których to pretensji, jakkolwiek w rachunku wynosiły tylko kilka rubli, ojciec na razie zaspokoić nie mógł.

Zbieraliśmy więc graty i dostawiali do okna, skąd ojciec je odbierał i za ścianą stawiał; po czym wydostawszy się oknem na dwór, wynosiliśmy ten dobytek na pole, gdzie już oczekiwały wynajęte konie i wóz, na który furman sprzęty ładował. Już w początku tej czynności poczęło mi serce bić gwałtownie, przejęła mnie bowiem obawa, że szmer i stuk pobudzi sąsiadów, a wtedy cały zamiar spełnie na niczym. Aby się to przedsięwzięcie udało, konieczny był ku temu mistrzowsko złodziejski spryt.

Jakoż obawy mnie nie zawiodły. Może w pół godziny po zjawieniu się ojca w mroku nocy zamigotało w oddali światełko i szybko ku nam się przybliżyło, a za chwilę stanęły przy nas trzy sylwetki, w których rozpoznałem: ekonoma, współmieszkańca spoza drzwi i wreszcie sąsiada-faktora. Tu nastąpiła scena sprzeczek i kłótni, podczas której drżałem na myśl możliwej bitki, do czego jednak na szczęście tamci przez respekt dla siły fizycznej mego ojca najmniejszej ochoty nie mieli. Za czym ekonom, zadowolony się pozostawionym mu fantem<sup>95</sup>, dał nam spokój. Zabrawszy więc, co się dało, ruszyliśmy nocą w drogę do Zakrzówka, gdzie też za kilkanaście godzin szczęśliwie i z prawdziwą ulgą stanęliśmy.

Już w styczniu, zdaje się 1886 roku, ruch cukrowni w Zakrzówku został całkowicie wstrzymany, fabryka zaś miała ulec zamknięciu na czas nieograniczony, powodem czego była zła administracja, a w następstwie tego próżna kasa. A ponieważ żyliśmy jak zawsze

<sup>94</sup>ordynaria — produkty rolne, otrzymywane przez robotników rolnych od właściciela folwarku jako część wypłaty. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>fant — zastaw, przedmiot zabezpieczający spłatę długu. [przypis edytorski]

z dnia na dzień, brak zatem zarobku, chociażby przez krótki tylko czas, mógł nam odjąć środki do życia. Trzeba więc było pomyśleć o przerzuceniu się w odpowiednie, stały zarobek dające strony.

Mieliśmy krewnego wielowskią, Jędrzeja Dz., który wówczas przed kilku miesiącami przesiedlił się z Zakrzówka fabrycznego na ziemię chełmską, skąd pisał do nas, że bardzo dobrze tam się mu powodzi, a synowie jego mają stały zarobek w pobliskiej hucie szkła. Miejscość ta, do której ów Jędrzej nas wabił, oddalona była od Zakrzówka sporo mil. Ojciec, nie chcąc narażać się na trudy i koszta dalekiej drogi gwoli samego tylko zbadania stosunków na miejscu, a polegając na słowach brata, jak Jędrzeja zwykle nazywał, postanowił prosto zaraz po uregulowaniu interesów w Zakrzówku tam się ze wszystkim przeprowadzić. I tak też się stało.

W wigilię naszego odjazdu odwiedził nas poczciwy Krempa wraz z żoną. Wszedłszy do izby i pochwaliwszy Pana Boga, stał chwilę przy drzwiach, jak gdyby się czegoś wahał. Wnet jednak, ośmielony sekretnym szturchańcem żony, zrobił krok naprzód, a zagłębiwszy rękę w kieszeń sukmany<sup>96</sup>, jął coś wydobywać, aż i wydobył żywą kurę i matkę mojej wspaniałomyślnie ją ofiarowywał. Matka wszakże, znając stosunki Krempów, wiedziała dobrze, że kur żadnych oni nie mają; nie kwapiąc się zatem do przyjęcia podarku, by ich, również jak my sami biednych, na stratę nie narażać, zapytała, jak do tej kurki przyszli? Zaambarasowany nieco tym pytaniem Krempa wyznał, że pragnął z serca coś nam w chwili rozstania w prezencie ofiarować; gdy jednakże nie miał w domu nic odpowiedniego na ten cel, całym bowiem ich mieniem był jedyny syn Marek, trafiła się mu szczęśliwie (nie przymierzając jak patriarsze Abrahamowi zaplątany w krzakach baran, którego miast syna Izaaka Panu na całopalenie złożył<sup>97</sup>) ta oto kwoczką na drodze, którą schwytał i o przyjęcie jej prosi. Ale matka w tak pospolity sposób zdobytej ofiary przyjmując nie chciała, za czym kwoczką wróciła nazad do kieszeni naszego poczciwca.

Rankiem dnia następnego byliśmy gotowi do drogi.

Naprzód ruszył wóz, wyładowany niezbędnym domowym statkiem<sup>98</sup>, między którym usadowiła się matka z dwoma młodszymi braćmi, Frankiem i Władziem, ja zaś odosobniony postępowałem w tyle. Przechodzący mimo koledzy przystawali i żegnali się ze mną, co tak mnie rozczuliło, że począłem unikać spotkania z nimi, żeby się z żalu nie rozpląkać. Anim wtedy przypuszczał, że do chwili, kiedy wspomnienia te kreślę, już ich nie zobaczę, a Bóg wiedzieć raczy, czy jeszcze w tym życiu to nastąpi.

Jadąc dzień i noc z krótkimi przystankami u przydrożnych karczem dla rozgrzania skostniałych członków, nareszcie drugiego dnia koło południa stanęliśmy u celu podróży. Była to kolonia, niedawno na wyrębie leśnym powstała, nazwana Chromówką. Tu przede wszystkim trzeba było pomyśleć o mieszkaniu, które też na drugi dzień po naszym przybyciu ojciec zgodził u jednego z kolonistów, z którym wspólnie w jednej izbie mieszkać mieliśmy.

Rychło przekonał się ojciec, że i tu, niestety, zawiedziony został, ale nie było czasu na próżne żale. Należało myśleć o jakimś zarobku, bo krupki<sup>99</sup> w matusinych woreczkach były na wyczerpaniu. Ale na razie nie tak łatwo było dostać robotę w hucie, do której najprostsza droga, a właściwie ścieżka, przez derby<sup>100</sup> i sapy<sup>101</sup> prowadząca, okazała się co najmniej dwa razy dłuższa od drogi z listu kochanego Jędrzeja.

Nareszcie po paru dniach znalazła się robota przy rąbaniu i składaniu w sęgi drzewa w lesie, odległym około 4 wiorst<sup>102</sup> od miejsca naszego zamieszkania, do której to roboty postanowiliśmy chodzić.

Wstając przed świtem, spożywaliśmy wcześniej przez matkę przyrządzone śniadanie, na które składał się jęczmienny, na blasze kuchni upieczony podpłomyk oraz żur, szumnie wówczas „barszczem” przez nas zwany, i okutawszy się w co się dało, z piłą i siekierami

<sup>96</sup>sukmana — długie męskie okrycie wierzchnie z sukna lub wełny, dołem rozszerzane, dawniej powszechnie noszone przez chłopów. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>patriarsze Abrahamowi zaplątany w krzakach baran, którego miast syna Izaaka Panu na całopalenie złożył — zob. Rdz 22, 13. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>statek (daw.) — mienie ruchome; sprzęt domowy, naczynia, narzędzia. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>krupki — zdrobn. od krupy, ziarenka kaszy. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>derby — tu z niem.: zwarte, zbite grunty. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>sapy (zwykle w lm) — podmokłe piaszczyste gleby. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>wiorsta — dawna rosyjska miara odległości, ok. 1 km. [przypis edytorski]

wychodziliśmy z domu, zaopatrzeni w garnuszek na gęsto na wodzie zgotowanej jęczmiennej kaszy, która to strawa trojgu nam, tj. ojcu, Jasiowi i mnie starczyć miała aż do czasu powrotu na noc do domu.

Praca w lesie, nie powiem, żeby do lekkich należała. Drzewo do ścinania i rąbania przeznaczone były to przeważnie młode, rosochate a krzywe dęby, a obok nich z rzadka brzozy. Zrąbanie jednej sęgi, od której płacono wówczas około 60 kopiejek, zabierało nam trzem w tych pod każdym względem niekorzystnych warunkach nieraz dwa dni uporczywej pracy, z krótką na obiad przerwą. Podczas tej obiadowej przerwy, rozpalwszy ogień, przystawialiśmy doń wspomniany garnuszek do odgrzania, ciągle nim obracając dla uchronienia naszego skarbu od przypalenia. Po czym przysiadłszy przy ogniu i wydobywszy blaszaną łyżką bryłki kaszy na połę zwisającego z grzbietu łacha, obyczajem murzyńskim braliśmy palcami ten dar boży i — chap! — uważając przy tym, by najmniejszej choćby drobiną na ziemię nie uронić. Również z zachodem słońca wracaliśmy na noc do domu, gdzie czekała nas podobnie wybredna wieczerza, którą spożywaliliśmy z wilczym apetytem. W takich warunkach pracowałem w lesie prawie do końca zimy.

Rozkoszy wielkiej wówczas wprawdzie nie miałem, czułem się przecież nie najgorzej. Owszem, swobodny ruch, powabny obraz lasu i świeże, acz mroźne powietrze, a nad tym wszystkim niekrępowana wola i skojarzona z przyrodą myśl bardzo dodatnio na usposobienie wpływały. I gdyby tylko nie ten nieszczęsny żołądek, co zbyt częstym a natarczywym domaganiem się swych praw człeka prześladował, byłoby mi nawet dobrze.

Wielu z miejskich wyeleganconych i jak lalka wymuskanych panków, z których jedni o burakowej twarzy, w brzuchu jak beczka grubaśni, drudzy zaś jak kreda bladzi, a jak tyka chudzi — w jednym jak i w drugim przypadku skutkiem braku ruchu i stęchłego miejskiego powietrza, a nieraz także częstych a obfitych libacji — narzeka na niemoc, głównie na chorobę żołądka. Takim pożałowania godnym osobnikom radziłbym, by zamiast odbywać kosztowne podróże do zagranicznych „badów”<sup>103</sup> i tam czy to płucać swe przetłuszczone ciała, czy też pić ohydneho smaku „mineralne” wody, brali siekiery i szli do lasu drwa rąbać, a ręczę, że rychło nie tylko apetyt i zdrowie, ale i dobry humor odzyskują. Kto nie wierzy, niech spróbuje.

Z początkiem wiosny chodziłem z Jasiem przez krótki czas do roboty przy sypaniu wału budującej się tam wówczas, a prawie już na ukończeniu będącej drogi żelaznej, zarabiając dziennie coś około 25 kopiejek. Przy robotach tych przeważali robotnicy Niemcy.

Pewnej niedzieli zjawił się u nas w Chromówce jeden z majstrów hutniczych z Rudy i zaproponował rodzicom 4 ruble miesięcznie za regularne posyłanie mnie do niego do huty, oświadczając zarazem, że skoro tylko nabędę odpowiedniej w fabryce wprawy, wynagrodzenie stosownie podwyższy. Troska zaś nad zaspokojeniem codziennych potrzeb mego żołądka zostać miała i nadal przy rodzicach. Po krótkim targu propozycję rodzice przyjęli.

Odtąd codziennie chodziłem do oddalonej z wiorsty huty.

Sam środek tej fabryki zajmował olbrzymi, kolistego kształtu piec z drewnianym dokoła wzniesieniem dla hutników. Stojąc na tym wzniesieniu, zanurzali hutnicy końce żelaznych „piszczalek” w ognistej lawie szkła i wyjmując na powrót, wydmuchiwali w przymocowanych do spodu wzniesienia żelaznych prasach rozmaite przedmioty, jak flaszki, lampy, szkiełka do lamp itp., a po wyjęciu z prasy składali te przedmioty w płytkich, nasypianych piaskiem skrzynkach, skąd już przy pomocy długich, drutem na końcu napikowanych tyczek chłopcy i dziewczęta odbierali te przedmioty i zręcznie układali je warstwami w przeznaczonych ku temu wielkich, gorących piecach, gdzie celem zahartowania pozostawały aż do zupełnego wychłodnięcia.

Huta ta, tak ze swym urządzeniem, jak i sposobem prowadzenia w niej pracy, nie miała dla mnie wielkiego powabu. A lubo brać hutnicza tworzyła niejako związek kochających i wzajemnie w potrzebie wspierających się ludzi, przecież tęskno mi czegoś było za zielonym, pełnym świeżego tchnienia lasem, to za wesołą, niedawno porzuconą cukrownią. Ale szanowny mistrz mój, pan Pierog, człek zacnego serca, chcąc snać weselsze myśli we mnie wzbudzić, darzył mnie począł pierogami i innymi smakolymi, co było najlepszą satysfakcją dla mego pustego woreczka, pospolicie żołądkiem zwanego.

<sup>103</sup>bad (niem.) — geogr. turyst.: zdroj, miejscowość uzdrowiskowa. [przypis edytorski]

Coś w półtora miesiąca od chwili mego wstąpienia do huty otrzymał ojciec z poczty list od brata swego Walentego z doniesieniem o mającej niebawem nastąpić budowie drogi żelaznej, pod którą prócz innych gruntów także i mojej matki grunt wywłaszczony został, pieniądze zaś z tytułu wywłaszczenia w takiej a takiej kwocie złożono u wójta; chcąc zaś pieniądze te podjąć, musiałyby matka osobiście zgłosić się po nie. List był krótki, a kończył się słowami: „Cieszę się, drogi braciszku, że może już niedługo się zobaczymy”.

Nie było wahania. Znużeni już rodzice doznany mi tu zawodami, a zarazem wsparci nadzieją zarobku w rodzinnych stronach, uradzili wracać na stałe do Małopolski, co też postanowionym zostało.

\*

Krótko stosunkowo trwał mój pobyt na Chełmszczyźnie i nie zaznałem tam uciechy życia. A przecież — mimo przeświadczenia, że wkrótce ujrzeć miałem strony rodzinne, za którymi tęskniłem — smutek jakiś niewytłumaczony, niby pająk swą przędzą, omotał mi duszę na myśl opuszczenia tej ziemi — może na zawsze. Bo lud ziemi chełmskiej mimo kamiennej na pozór twarzy ma w sobie coś z tej magnetycznej siły, która przy pierwszym zetknięciu każdego przyciąga do siebie. Bo ziemia ta chełmska to matka bojowników, walczących nieugięcie w obronie dóbr swych nadprzyrodzonych.

I jak z krwi pierwszych Chrystusa wyznawców, wytoczonej na arenie rzymskich cyrków, miał kiedyś wystrzelić i nad światem całym zajaśnieć precudny kwiat zwący się chrześcijaństwem, tak z krwi męczeństwa i z łez ucisku ludu chełmskiej ziemi, którymi to łzami i krwią hojnie ona nasiąkała, wytrysnąć miało źródło siły, mocy i wytrwałości dla całego narodu.

I jak dawni chrześcijanie tajemnymi wejściami zdążali do podziemnych Rzymu katakumb, by w nich wspólnie słać Chrystusa, tak chełmskiej ziemi męczennicy, skoro zostały im pozamykane i poburzone świątynie ich, ongiś przez pobożnych ojców na wolnej ziemi wzniesione, wykradali się podczas ciemnych, burzliwych nocy i najnieprzystępniejszymi manowcami zdążali do odległych głębin leśnych, by tam razem głośno śpiewać hymn wiary do swego Boga.

I cierpiał lud ziemi chełmskiej nie tylko dla Chrystusa. Cierpiał on także za miłość ku Polsce, ziemi ojców swych. A otaczające nas wokół narody i państwa chrześcijańskie nie widziały wówczas mąk, nie słyszały jęku chełmskich męczenników, krew z krwi, kość z kości naszej. I kiedy pletnie<sup>104</sup> okrutnych oprawców szarpały aż do białych kości zsiniałe, skrwawione ciała unitów<sup>105</sup>, by tym przełamać ich opór, katowani powtarzali twardo:

— Wytrwamy! Wytrwamy!

I wytrwali, w ekstazie umierając.

Ale krew ich nie poszła na marne.

Pokłon tobie, ludu cierpiący a zwycięski.

Pokłon tobie, Ziemio Chełmska, matko męczenników, święta relikwio wierzących.

Bądź pozdrowiona!

## V

*Wyjazd do stron rodzinnych. Przyjęcie. Przywitanie z babką. Zmiany. Do nauki szewstwa. Śmierć brata i babki. Skuteczny sposób na kusicieli. Książka. Na dworskim łanie. W lesie na pątkach.*

Był zdaje się początek maja, kiedy pewnego pogodnego ranka wyruszyliśmy w drogę, serdecznie przez znajomych żegnani. W ciągu całej podróży sprzyjała nam piękna,

<sup>104</sup>pletnia — pleciony bicz z bydłowej skóry, narzędzie chłosty. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>uniti — katolicy obrządku wschodniego; wyznawcy prawosławia, którzy przyłączyli się do Kościoła katolickiego na podstawie unii brzeskiej (1596) i unii użhorodzkiej (1646), uznając papieża za głowę Kościoła i przyjmując dogmaty katolickie, zachowując jednak wschodnią liturgię; cesarze Rosji uważali unitów za odłączonych siłą i przymusowo ich „nawracali”, wcielając do Cerkwi prawosławnej; w 1875 Aleksander II zlikwidował ostatnią unitką diecezję w Rosji. [przypis edytorski]

ciepła pogoda. Okolice, przez które przejeżdżaliśmy, interesowały mnie swym położeniem i malowniczością. Opisu jednakowoż tychże okolic, czy to z geograficznej, czy też z historycznej strony, choćby w przybliżeniu podać tu nie mogę, nie znałem ich bowiem. A chociaż ojcu strony owe obcymi nie były i jadąc, objaśniał matce i braciom niektóre miejscowości, z którymi wiązały się jakieś, szczególnie historyczne zdarzenia, ja z opowiadań tych korzystać nie mogłem. Tylko kurhany a mogiły bojowników, poległych w ojczystych swobód obronie, brat mi wskazywał.

W jednej miejscowości zajęły moją uwagę większych rozmiarów mogiły, o wyglądzie potarganych grobli. I kiedy wszyscy na wozie siedzący zajęci byli rozmową, ja zapatrzony byłem w owe „groble”, dopóki z oczu mi nie znikły. Słusznie ziemię naszą nazwano „ziemią mogił”.

Dziś jeszcze te mogiły stoją mi w pamięci. I skoro kiedy wybiegnę myślą na ziemi polskiej obszary, mnogimi mogiłami usiane, budzi się w duszy rzewna melodia słów piewcy *Skargi Jeremiego*<sup>106</sup>:

„Och, cała ziemia ta nasza cmentarna  
Wygląda, Panie, jak czara ofiarna,  
W którą poganie zlewali krew wrogów  
Dla dawnych bogów”.<sup>107</sup>

Zmieniając w drodze parokrotnie furmana z końmi i wozem, około południa trzeciego dnia stanęliśmy nareszcie na rosyjskiej komorze<sup>108</sup>, skąd po uprzednim poddaniu się rewizji austriackiej straży pogranicznej w Chwałowicach poprzenosiliśmy sprzęty poza słupy kordonu i za jakąś godzinę świeżo wynajętymi końmi ruszyliśmy dalej. Przed zmrokiem byliśmy już blisko Wielowski. Ponieważ do miejsca przeznaczenia, tj. do Sobowa, był jeszcze kawał drogi, a furman nasz do powrotu niecierpliwiał się, postanowił ojciec zajechać do swego brata Walentego na Kępę, skąd po przenocowaniu i krótkim spoczynku sprowadzilibyśmy się do Sobowa.

Radowała się mi dusza, że już za parę chwil stanę w zagrodzie dziadów moich, z którą wiązały mnie wspomnienia najpiękniejszych lat chłopięcych w niej spędzonych. Dukało mi tylko to, że w drodze uległem niespodzianie przykrej chorobie oczu, tak zwanej „kurzej ślepoty”.

Zajechawszy przed podwórze zagrody stryja, wóz się zatrzymał; zeskoczyłem z wozu, a dotknąwszy pierwszy raz po kilku latach stopami tej miłowanej ziemi, tak byłem wzruszony, że miałem wielką ochotę przypaść twarzą a całować ten święty „szary proch”, ale się wstydził, by nie być wyśmianym. Przystanąłem, wsparłszy się o wierzbę, i dziwno mi było, że nikt nie zbliża się do mnie. Daremnie wyteżałem wzrok; prócz podchwycionych na moment, majających na jasnym tle wieczornego nieba szarych czubów wierzb nic więcej dojrzeć nie mogłem. Zauważyłem natomiast nawracającą nazad furę i zdziwiło mnie, że tak prędko rzeczy z wozu poskładano, ale wytłumaczyłem to sobie tym, że furmanowi bardzo się z powrotem spieszyło.

Lecz dlaczegoż nikt do mnie nie przystępuje? Wołam więc na Jasia, najpierw z cicha, potem głośnie, wreszcie już głośno wywołuję z kolei to braci, to matkę — i znowu nic. Już mi się mocno na płacz zbierało, kiedy jakiś mężczyzna przystąpił do mnie, a ująwszy za ramię, popychał mnie z lekka w stronę oddalającego się wozu. W postaci tej, nad twarzą moją pochyloną, z całą pewnością domyśliłem się stryja. Odgadłszy wreszcie moją biedę oczną, wprowadził mnie stryj do izby i dawszy posiłek, kazał mi się przenocować. Jakkolwiek tajemniczość zajścia, jakie przed chwilą miejsce miało, bardzo mnie niepokoiła, przecież położywszy się na rozesłanym snopie słomy, znużony długą podróżą, zaraz zasnąłem snem kamiennym.

Obudziłem się ze wschodem słońca i uporządkowawszy się jako tako, wyszedłem na podwórze, pragnąc przede wszystkim nasycić oczy widokiem kąpiących się w promie-

<sup>106</sup>*Skargi Jeremiego* — cykl wierszy Kornela Ujejskiego, powstały pod wrażeniem klęski powstania krakowskiego i chłopskiej rabacji galicyjskiej (1846), wydany w 1847. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*Och, cała ziemia ta nasza cmentarna...* — Kornel Ujejski, *W cześć umarłym*, z tomu *Skargi Jeremiego*. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*komora* — tu: komora celna, graniczny urząd celny. [przypis edytorski]

niach wschodu, dawno niewidzianych murów umiłowanego Sandomierza. Lecz ledwie postawiłem kilka kroków, ujrzałem ku swej radości zbliżającego się od strony wsi Jasia, dającego z daleka znaki, bym się zbliżył, a gdyśmy się zrównali, kazał iść z sobą do wsi.

Po drodze opowiedział mi, że u stryja miejsca na nocleg nie było, a ponieważ zmrok szybko zapadał, nawrócono pospiesznie, nie zauważywszy, że zostałem. Zajechali więc do wsi na obejście starego przyjaciela ojca, Pawła Galusa, którego żona była rodzoną siostrą znanego nam już Jędrzeja Dz. Zacni Galusowie przyjęli nas bardzo serdecznie i gościnnie, prosząc, byśmy przez parę dni u nich spoczęli, a zaprosiny te z wdzięcznością przyjęte zostały, mogli bowiem rodzice swobodniej za mieszkaniem się oglądnać.

Na drugi dzień poszliśmy do Sobowa, pragnąc ujrzeć babkę. Zaszedłszy przed znaną dobrze zagrodę, za przykładem matki pousiadaliśmy na pozrzuconym opodal drzewie; matka bowiem, będąc w pewnego rodzaju nieporozumieniu familijnym z siostrą swą Anną, przy której babka mieszkała, nie kwapiła się stanąć niespodzianie w rodzinnego domu progach.

Lecz oto za niedługą chwilę dało się słyszeć z podwórza dochodzące szlochanie a wolań. Powstaliśmy razem i wszedłszy za wrota, ujrzeliśmy na podwórku leżącą przy porzuconych obok siebie kulach babkę, która na nasz widok wyciągnęła ku nam drżące, wyschłe ręce, a z ust jej płynęły przerywane szlochem słowa powitania: „O! dzieci moje... dzieci!”. Uwiadomiona niespodzianie przez jedną z sąsiadek o naszym przybyciu, ujęła kule, na których opierając się, wyszła z izby, pragnąc jak najprędzej uściskać nas, ale silne wzruszenie odjęło jej siły i upadła. Pochyliliśmy się nad kochaną, biedną starowiną i podniósłszy, usadowiliśmy ją między sobą na przyzbie. Tu przy serdecznym szlochu a powtarzaniu: „O, dzieci moje, dzieci!” wszystkich nas po kolei uściskała mnie najczulej i najdłużej.

W godzinę później, po widzeniu i przywitaniu się jeszcze z ciotką, mężem jej i dziećmi, poszedłem z Jasiem w stronę naszego pola. Idąc i rozglądając się, spostrzegliśmy wiele, zaszłych tu podczas naszej kilkuletniej nieobecności, korzystnych zmian. Na rzeczce, opodal zagród wsi płynącej, w miejsce dawnego brodu rzucony był most; sama zaś rzeczka, która dawniej rozlewała tu szeroko i podczas większych deszczów i roztopów wiosennych wlewała swe wody do stojących opodal stodół i przylegających ogrodów, teraz zregulowana i w wąskiej korycie ujęta, podobna do małego strumyka cicho płynęła. Na oddzielnym rzeczką od wsi pastwisku, w miejscu wygodnym, suchym i słonecznym, rozsiadł się nowy, drewniany, obszerny budynek szkolny.

Z pola naszego pozostał zaledwie mały skrawek. Wrzała tu praca i ruch. Budowano na rzeczce most pod kolej. Na samym brzegu rzeczki zauważyłem jakiegoś obcego, kusego jegomościa, a z jego niespokojnych, nerwowych ruchów domyśliłem się kłótni ze stojącym naprzeciw niego poważnym gospodarzem, w którym ze zdumieniem poznałem naszego starego wójta, Madeja. Ów jegomość, inżynier, jak potem się dowiedziałem, rozkazał był samowolnie, bez pytania, składać materiały budowlane na polu Madeja, ten zaś, strzegąc swego dobra, energicznie przeciw tej samowoli protestował i stąd kłótnia. Inżynier, podrażniony oporem, począł nareszcie nad Madejem trzcinką wywijając, przy czym miał krzyczeć: „Głupia chłopa!... Ja tobie bić... Głupia chłopa!...”. W końcu, dając folę rozdrażnieniu, trzcinią Madeja raz i drugi w plecy uderzył. Krew fałą uderzyła mi do głowy i postąpiłem naprzód z myślą, którą w czyn gdybym był wcielił, natenczas według słów Mickiewicza „zaraz by w bagnie skąpał się ten plucha”<sup>109</sup>, ale bliżej stojący chłopci już przyskoczyli, a w oczach i całej ich postawie mógł Niemiec wyczytać tyle ku sobie nienawiści, że, wysapawszy się jeszcze i nakławszy po swojemu: „Głupia chłopa! Głupia, chłopa!”, oddalił się.

W parę dni później mieszkaliśmy już w Sobowie. Tu przez parę tygodni pracowałem przy sypaniu ziemi pod drogę żelazną, do Nadbrzezia bieć mającą<sup>110</sup>, zarabiając po 40 centów dziennie. Pewnego dnia postanowili rodzice oddać tak mnie, jako też Jasia do nauki rzemiosła w Tarnobrzegu, gdzie też w tym celu udaliśmy się.

<sup>109</sup>zaraz by w bagnie skąpał się ten plucha — Adam Mickiewicz, *Grażyna*, w. 43. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>drogę żelazną, do Nadbrzezia bieć mającą — był to końcowy odcinek linii kolejowej w cesarstwie austriackim, ze stacją, która obecnie znajduje się na terenie prawobrzeżnej części Sandomierza. [przypis edytorski]

Wybór rzemiosła, w którym całe życie pracować przyjdzie, jest rzeczą nie mniej ważną jak wybór stanu<sup>111</sup>. Toteż rozważywszy z góry, co dla mnie najlepszym będzie, zapragnąłem uczyć się zegarmistrzostwa, do którego szczególny pociąg czułem. Lecz ojciec nawet słysząc o czymś podobnym nie chciał. Wiedziałem, że woli ojca przeciwstawić się nie potrafię, oświadczyłem się więc za krawiectwem, na co też rodzice przystali. Udaliśmy się zatem do krawca, Jana Kolaśńskiego, cieszącego się ogólnym szacunkiem późniejszego burmistrza Tarnobrzega — ten jednakowoż oświadczył, iż z powodu mej ułomności nie dałby ze mną rady. A ponieważ w Tarnobrzegu drugiego chrześcijańskiego zdolnego majstra krawieckiego nie było, zdecydowali rodzice oddać mnie do szewca, twierdząc, że rzemiosło to jest najpewniejsze. Szwagier matki, Józef Ordyk z Dzikowa, który jako znający miejscowe stosunki nam towarzyszył i majstrów wskazywał, oznajmił, że najzdolniejszym majstrem szewskim w Tarnobrzegu jest pewien starozakonny, zatrudniający w swej pracowni czeladź przeważnie chrześcijańską. Do niego zatem udaliśmy się, a wkrótce potem, bez względu na zgodę z mej strony, zawarta została w odnośnym urzędzie cechowym formalna umowa, podług której do trzech lat miałem się w rzemiośle szewskim wydoskonalić. Gdyby zaś po upływie roku rodzice nie złożyli reszty przynależnej majstrowi kwoty, pozostać miałem u niego rok czasu dłużej.

Żyd, Praca

Tak więc los mój został przypieczętowany. Brat Jan później oddany został do nauki rymarstwa przy koledze swym z ławy szkolnej, Tomaszu Motyce w Sobowie. Odtąd rozpoczęły się dla mnie dni najprzykrejsze w życiu.

Żyd, Praca, Antysemityzm

Jakkolwiek do szewstwa pociągu nie miałem, oddałem się przecież nauce i pracy z poświęceniem, co wszakże nie przeszkadzało mu sił moich najniemiłosierniej wyzyskiwać, jak tylko Żyd potrafi.

W osiem coś miesięcy po moim wstąpieniu do terminu zjawił się u rodziców, w Tarnobrzegu już natelyd mieszkających, Motyka z hiobową wieścią, że Jaś niebezpiecznie zachorował. Do Sobowa matka pospieszyła natychmiast, ja zaś na drugi dopiero dzień, brnąc całą drogę w głębokim śniegu. Chory ze względu na niebezpieczeństwo rozszerzenia zarazy został izolowany i umieszczony w osobnym lokalu kancelarii gminnej, a stan, w jakim brata zastałem, był wprost przerażający. Była to czarna ospa. Całe ciało chorego wyglądało niby pokryte czarną chropawą, połyskującą łuską; na napuchłej twarzy znać nawet oczu nie było; szeroko otwarte usta ukazywały swą jamę, czarnej czeluści podobną; oddech ciężki. Pochylona nad chorym matka o skamieniałym obliczu automatycznym ruchem ścierała mu pot z czoła i twarzy. Zrozumiałem z rozdartym sercem, że godziny jego policzone. Ach, jakże pragnąłem, żeby oczy otworzył w tej strasznej godzinie. Wywoływałem więc głośno jego imię: „Jasiu, Jasiu!” — lecz nie wiem, czy to ostatnie do niego wołanie słyszał; miał na tyle zaledwie siły, by lekko stopą poruszyć — i nie otworzywszy oczu, w parę godzin potem, dnia 9 lutego 1888 r., w dwudziestym pierwszym roku życia, skonał. Z jego śmiercią stracili rodzice nadzieję podpory starości.

Choroba, Śmierć

Ojca przy skonaniu Jasia nie było. Przyszedszy na drugi dzień, tłukł głową o ścianę, płacząc głośno, to znów nachylał się nad nieboszczykiem i całował jego zimną, sinoczną twarz i czarne usta. I dziwić się zaiste trzeba, że tym na siebie tej strasznej zarazy nie przeszczepił, a w całej owej tragedii wiele było podobieństwa do rozpaczy owego nieszczęśliwego Araba, ojca zadżumionych<sup>112</sup>.

Śmierć Jasia była dla nas ciężkim ciosem, a smutek powiększało jeszcze i to, że rodzice nie mieli za co nawet trumny sprawić. Ale smutna konieczność w wypadkach takich w środkach nie przebiera; toteż ojciec kazał mi pójść do stryja na Kępę i prosić, by coś dali na pogrzeb Jasia. Posłuszny woli ojca, natychmiast do Wielowoi poszedłem. Przystąpiwszy progi domu stryjostwa, z płaczem opowiedziałem im smutną nowinę, prosząc o jakiś datek na pogrzeb. Stryj początkowo nie dowierzał memu opowiadaniu, po chwili jednak wręczył mi czterdzieści centów, które z podziękowaniem przyjąwszy, udałem się do pobliskiego domu stryjostwa ojca, ludzi biednych, ale usłużnych i miłosiernych. Ci wręczyli mi 60 centów, ostatni prawie grosz, jaki przy sobie mieli. Po drodze wstąpiłem jeszcze do jednej z ciotek ojca, gdzie znów dostałem 20 centów. Posiadając już kwotę jednego reńskiego

Śmierć, Bieda, Pieniądz,  
Pogrzeb

<sup>111</sup>stan — hist.: warstwa społeczna; daw.: grupa zawodowa. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>nieszczęśliwego Araba, ojca zadżumionych — bohatera poematu Juliusza Słowackiego pt. *Ojciec zadżumionych*. [przypis edytorski]

i dwadzieścia centów, pospieszyłem z powrotem do Sobowa. Na drugi dzień odbył się pogrzeb. Od śmierci Jasia rodzice znów w Sobowie zamieszkali.

W pięć tygodni po śmierci brata przeniosła się do wieczności babka, Helena Motyczyna, ukończywszy 69 lat życia.

Życie moje w terminie płynęło jednostajnie i smutno. Obco mi tu było i nieswojo. Pragnąłem się bodaj w niedzielę wśród bliższych mi osób znaleźć i ducha ożywić. Nad nudne siedzenie w grobowej ciszy przenosiłem<sup>113</sup> ruch, choćby na najcięższych mrozach, śnieżycy czy burzy. Zachodziłem wtedy najczęściej do Wielowśi, do domu stryjostwa ojca, Kazimierzów Kurasiów, gdzie zawsze otwartym sercem byłem przyjmowany.

Przy szewskim warsztacie w początkach mej nauki zajęty<sup>114</sup> był czeladnik chrześcijanin, niejaki Jabłoński, z wiecznie obrzękłą twarzą, a odżywiający się tylko suchym chlebem i wódką, na którą wydając cały zarobek, nie był tym samym w możliwości zdobyć się na pożywniejszy wikt. Jakkolwiek majster i synowie jego nigdy nad miarę trunku nie używali, który to przymiot ogół Żydów dodatnio od chrześcijan wyróżnia, przecież kto tylko przyszedł z zamówieniem na obuwie, przeważnie ze wsi, przyjętym zwyczajem zawsze po ubiciu targu posyłał po wódkę, którą się całe towarzystwo, począwszy od majstra, a skończywszy na terminatorze, z upodobaniem raczyło, a powtarzało się to niemal co dzień.

Nic zatem łatwiejszego nie było, jak zaprawić się pomału do pijaństwa, a któremu to nieszczęsnemu nałogowi niejednen z terminatorów-chrześcijan podpadł. Ja przecież mimo głupich pokpiwań, a czasem i dokuczań, na które nieraz musiałem czynnie reagować, trzymałem się twardo i podawanej mi do wypicia wódki nigdy nie przyjąłem. Jednego razu, kiedy po ubiciu targu z zamawiającym obuwie wedle zwyczaju raczono się wódką, czeladnik (syn majstra), wyciągając do mnie rękę z pełnym kieliszkiem, naglił do wypicia, a wreszcie grozić mi począł wylaniem wódki za kołnierz... Wtedy ja, niby ulegając namowom, wziąłem z ręki jego podawany mi napój i skoro nic złego nie przeczuwający Żydek z błogością na twarzy triumfował już w duchu odniesionym nad mým uporem zwycięstwem, zawartością kieliszka chlusnąłem w twarz natręta... Majster głośno się na ten mój postępek oburzał, goście się śmiali, a oblany tarł pięściami zalane gryzącym płynem oczy, wzywając przy tym wszystkich jasnych pieronów, cholera, szlagów i wszelkich chorób na „przeklętego akuma<sup>115</sup>”. Odtąd z podobnego rodzaju namowami dano mi raz na zawsze spokój. Nikt widno nie miał ochoty doświadczać po kolei, jak to alkohol działa na otwarte ócz źrenice...

Nienawidząc wódki, lubiłem za to książki; toteż zobaczywszy raz w pewnym domu książkę obrazkową pt. *Z ojczyznej zagrody, z życiorysami sławnych w polskim narodzie mężów*, przez księdza Wł. Wójcickiego pisaną, zapytałem, czyby mi jej nie sprzedano, a otrzymawszy przytwierdzenie, zapłaciłem żądane 20 centów, stanowiące cały mój majątek. Była to pierwsza za własny grosz nabyta książka, którą do dziś jako miłą pamiątkę przechowuję.

W pierwszym roku mego terminowania miałem oprócz niedziel i świąt rzym.-kat. wolne także soboty, o ile jakiejś pilnej roboty przy warsztacie nie było. W lecie więc już w piątkowe wieczory chodziłem do rodziców do Sobowa, by nazajutrz pójść z drugimi do roboty na dworskim łanie w Wielowśi, a zarobiony grosz oddać matce. Pewnego późnego sobotniego wieczora, wracając z Wielowśi, gdzie żąłem rzepak, w połowie drogi ustąłem z osłabienia. Usiadłszy obok przydrożnego dworskiego łanu żyta, obrywałem kłosa i łuskając na dłoni miękkie ziarno, łagodziłem nim dolegający głód, co zauważywszy jedna z przechodzących miłosiernych dusz, wetknęła mi w rękę okruch czarnego chleba, który zjadłszy, powlókłem się do domu. Takie najczęściej w domu rodziców moich bywały dostatki, że czuliśmy się zadowoleni, jeżeli w uroczyste święta doroczne, jak Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy znalazł się na naszym stole placek z grubej jęczmiennej mąki.

Po spędzonej w domu niedzieli wczesnym rankiem w poniedziałek szedłem znów do Tarnobrzega, a ze mną czasem wychodził brat Franek, któremu na zlecenie rodziców

Pijaństwo

Alkohol, Kłótnia

Książka

Praca

<sup>113</sup>przenosić (daw.) — bardziej cenić, dawać pierwszeństwo. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>zajęty — tu: zatrudniony. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>akum (hebr. akronim) — pierwotnie: bałwochwalca; zastępnik słowa „goj” w znaczeniu: innowierca, nie-Żyd. [przypis edytorski]



miałem pomóc w zbieraniu suchych patyków w odległym 3 km lesie, przez który droga wiodła.

Na takiej to raz czynności zabrałem pierwszą znajomość z przyszłym dziedzicem Dzikowa, hr. Zdzisławem Tarnowskim<sup>116</sup>. A było to tak: Nazbierawszy już naręcze patyków i związawszy je w przyniesioną przez Franka płachtę, kręciłem się jeszcze, upatrując patyczków dla uzupełnienia wiązki, gdy wtem niespodzianie z pobliskich zarośli wyłoniły się trzy postacie. W pierwszej z nich rozpoznałem hr. Zdzisława Tarnowskiego, przystrojonego w myśliwski kapelusz z pióropuszem, a uzbrojonego w pistolety, kordelas i dubeltówkę, w drugiej koniuszego, Jerzego Barkę, trzeciego już nie pamiętam. Byli snąć na łowach. W pierwszej chwili zgłupiałem; nadrabiając jednak miną i siłą się nadać twarzy wyraz spokoju, układałem ją do miłego uśmiechu i kłaniając się uprzejmie hrabiemu, rozpoczynam perorę: „Proszę wielmożnego pana... ten tego... proszę wielmożnego...”. Tym osobliwym moim zareprezentowaniem się hrabia był widno mocno zaintrygowany, bo stojąc przede mną, nic nie mówił i dopiero gdy wątek tak świetnej wymowy się mi urwał, przybrał groźną minę i wskazując palcem w stronę wsi, krótko odezwał się: „Marsz!”

W trakcie tego Franek, zorientowawszy się w sytuacji, poskoczył ku płachcie, momentalnie rozwiązał ją, a szarpnąwszy raz i drugi, z takim zachodem zbierane patyki rozrzucił jak garść puchu na wiatr i uskoczywszy z płachtą za drzewo, śledził z przyzwoitej odległości, jaki też będzie epilog tego spotkania. Skończyło się przecież na niczym.

Ale brat, wzięwszy hrabiego za Rinalda Rinaldinię<sup>117</sup>, bardzo się przestraszył i odtąd zaprzestał chodzić do lasu.

## VI

*Do Wrzaw. W żydowskie ręce. Profanacja i dewastacja. Wyzwolenie z terminu. Przestroga. Naiwność wiary w asymilację Żydów.*

W swoim czasie przeprowadzili się rodzice z Sobowa do Wrzaw, a właściwie Dąbrowy Wrzawskiej, które to sioło wraz z innymi przysiółkami wchodzi w skład gminy administracyjnej Wrzawy. Jest to gmina dość duża, na nizinnej równinie między widłami rzek Wisły i Sanu położona. Na zmianę miejsca wpłynęła głównie ta okoliczność, iż ojciec liczył na stały zarobek przy budowie tam rzecznych, do których to robót aż z Sobowa od jakiegoś czasu tu przychodził.

Wieś tę polubiłem tak dla jej położenia między głównymi rzekami, jako też dla bogatego zadrzewienia z mnogością sadów, a przede wszystkim dla związanych z tymi stronami historycznych wydarzeń i poczciwości mieszkańców.

Dwór w Dąbrowie Wrzawskiej był wówczas rezydencją dziedzica tamtejszych włości, Tadeusza Horocha, który dobra wrzawskie otrzymał w spadku po stryju Kalikście Horochu, bezpotomnie zmarłym.

Pewnego zimowego dnia, przyszedłszy do rodziców, dowiedziałem się, że dziedzic miejscowy dobra swe sprzedał Żydom. Serce mi się ścisnęło. Jak to — myślałem — dziś, kiedy poczyna się budzić poczucie narodowe w najniższych nawet warstwach społeczeństwa, miałoby ci, co chcą uchodzić za przewodników narodu, dopuszczać się tak haniebnej zbrodni na własnej ojczyźnie?... Daremny jednak żal. Haniebna ta frymarka<sup>118</sup> stała się faktem dokonanym<sup>119</sup>.

Na dzień 29 czerwca, zdaje się 1890 r., w którym to dniu przypada uroczystość św. apostołów Piotra i Pawła, dziedzic dotychczasowy zapowiedział wydanie dla miejscowej ludności uczyty pożegnalnej, która odbyć się miała po południu we dworze. Z drugimi pociągnąłem tam i ja, prostą ciekawością wiedziony.

<sup>116</sup>Tarnowski, Zdzisław (1862–1937) — hrabia, właściciel ziemski, polityk; dziedziczny członek Izby Panów w parlamencie austriackim, poseł na galicyjski Sejm Krajowy, prezes Stronnictwa Prawicy Narodowej, członek Naczelnego Komitetu Narodowego, senator z listy BBWR (1928–1930). [przypis edytorski]

<sup>117</sup>Rinaldo Rinaldini — postać literacka, szlachetny herszt rozbójników, tytułowy bohater popularnej powieści Christiana Augusta Vulpiusa, wyd. w 1797, oraz wielu jej przeróbek w XIX i na pocz. XX w. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>frymarka a. frymark (daw.) — kupczenie; handel czymś, czym się nie powinno. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>Haniebna ta frymarka stała się faktem dokonanym — sprzedawczyk ten później popełnił samobójstwo. [przypis autorski]

Dzień był cichy, słoneczny; czystego horyzontu nie przyćmiewała najmniejsza chmurka. Na dworskim dziedzińcu zgromadzona ludność czeka już dobrą godzinę, a zapowiedzianej uczyty nie widać ani też dziedzic nie pokazuje się. Na koniec na twarzach zgromadzonej ludności objawiać się poczyna niepokój; na niebie ukazują się chmury, a wkrótce rozlegają się przeciągłe grzmoty. Zerwał się wicher, a z czarnych, krwawymi błyskawicami przerynianych chmur lunęła ulewa. Wycie wichru, grzmoty i huk gromów, niemilkący trzask łamanych drzew, szum gwałtownie wezbranej, opodal dworu płynącej Wisły, której brudne, spienione fale zdawało się, że dosięgną stojącego na wzniesieniu dworku i splukną go, wszystko to razem czyniło taką potężną grozę, że wszyscy zebrani, poukrywani po różnych zabudowaniach dworskich, pochyliwszy głowy, bili się w piersi, modląc się: „Boże, bądź miłościw”. Tak więc sama nawet przyroda głośnym bólem zapłakała na tę ohydłą frymarkę.

W kilka dni później po wyprowadzeniu się raz na zawsze Horocha z Wrzaw przechodząc frontowym podwórzem opodal samych ścian dworku. Podwórze to zamienione już było w jeden wielki śmietnik, na którym poniewierały się całe stosy rozmaitych potarganych szpargałów. Schyliwszy się, podniosłem parę luźnie rozrzuconych świstków. Były to listy. Na jednym świstku, zaopatrzonym nagłówkiem „Kochany Kalciu”, wyczytałem między wierszami te wyrazy: „...o, gdyby każda matka dochowała się takiego syna, jakim mnie Bóg w dobroci niepojęty nagroził...”. Jak zatem z tytułu i treści tych kilku możliwych jeszcze do odczytania słów łatwo odgadnąć, był to list matki Kaliksta Horocha, do niego pisany, a które to listy on jako relikwie przechowywał, śnać nie przeczuwając, jakiego w końcu doczekają losu...

Nie znam bliżej dziejów życia Kaliksta Horocha, czym jednak był — wymowniej od wszelkich pisanych życiorysów mówi o nim obelisk<sup>120</sup>, tuż opodal ogrodu dworskiego na kurhanie przezeń podstawiony, na którym przechodzień odczyta takie napisy:

Pamięci  
walecznych rodaków,  
obrońców swobód ojczystych,  
poległych w bitwie na tych polach,  
stoczonej dnia 13 czerwca 1809  
za czasów Księstwa Warszawskiego  
pod wodzą księcia Józefa  
Poniatowskiego,  
naczelnego wodza wojsk polskich.

Pomnik ten na wieczną pamiątkę  
obywatel obrońcom  
żołnierz żołnierzom  
Kalikst Horoch  
postawił 1897 r.

Jak długo w sercach naszych  
krew cnych przodków płynie,  
tak długo tych walecznych  
pamięć nie zaginie.

Z chwilą zmiany właściciela zmieniła się także fizjonomia tak dworu samego, jak i przynależnych doń posiadłości. Dwór opustoszał, oddany pastwie największego zaniedbania i nieporządków, nabywca bowiem rezydował w poprzednio nabytym dworze w Skowierzynie, ustanowieni zaś oficjaliści<sup>121</sup> — sami Żydzi — w dworze wrzawskim za-

<sup>120</sup>obelisk — obelisk ten upamiętnia bitwę pod Wrzawami w widłach Wisły i Sanu stoczoną faktycznie 12 czerwca 1809 (a nie 13 czerwca, jak głosi napis na pomniku) pomiędzy wojskami Księstwa Warszawskiego a wojskami austriackimi; stojący na małym pagórku, miejscu pochówku poległych, klasycystyczny obelisk został ufundowany dla upamiętnienia 70 rocznicy bitwy przez właściciela Wrzaw barona Kaliksta Horocha, który jako 12-latek był z ojcem we Wrzawach podczas starcia. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>oficjalista (daw.) — prywatny urzędnik, osoba zatrudniona przez właściciela do wykonywania zadań związanych z zarządzaniem majątkiem ziemskim. [przypis edytorski]

jęli na mieszkanie oficyny<sup>122</sup>; najwygodniejsze zaś pokoje z przyczyny jakiegoś przesądu pozostały niezamieszane i tylko wiatr przez wybite szyby i pootwierane na oścież drzwi hulał po nich.

Przepiękne, pełne uroku stare zadrzewienie prawego brzegu Wisły i obu brzegów Sanu, którego szczególnie lewy brzeg odznaczał się niezwykłą pięknnością, zostało wkrótce doszczętnie zdewastowane. Olbrzymie topole nadwiślańskie, jabrzędzie<sup>123</sup>, olchy, wierzby i inne drzewa padły pod ciosami siekier.

Toteż skoro w parę lat po wyprowadzeniu się z tej miejscowości zajrzałem do Wrzaw, sam dwór, jako też brzegi obu wspomnianych rzek zastałem tak zmienione, jak gdyby jakiś niszczycielski huragan tędy się był przewalił.

\*

Po czterech latach nauki szewstwa zostałem nareszcie wyzwolony. Majster chciał koniecznie zatrzymać mnie nadal u siebie jako czeladnika, przyrzekając dać mi wszelkie wygody i dobrą pracę, wszelkie jednak propozycje jego z miejsca odrzuciłem.

W terminie tym nabyłem sporo doświadczenia; poznałem wiele dodatnich stron Żydów pod względem współzycia, oszczędności, zabiegliwości, trzeźwości i ścisłego przestrzegania przepisów swego zakonu, lecz bez porównania więcej stron ujemnych psychologii duszy żydowskiej w odniesieniu do chrześcijan. Nacierpiałem się dużo i gdyby to ode mnie było zależało, już po paru dniach byłbym uciekł stamtąd. Ale poza prawomocnym kontraktem trzymała mnie tam zawsze święta dla mnie wola rodziców. I obowiązek sumienia nakazuje mi ostrzec ogół ludności chrześcijańskiej, ażeby jeżeli już koniecznie do Żyda iść musi, w załatwianiu z Żydami interesów była ostrożną, a jako jaskrawy przykład szkodenia na mieniu ludności chrześcijańskiej przez Żydów, choćby nawet mających opinię „rzetelnych” — a taką właśnie opinią cieszył się mój majster — niech posłuży fakt, jakiego niejednokrotnie niespodziewanym byłem świadkiem.

Zdarzało się bardzo często, że ktoś z chrześcijan kupił w składzie nowe, przez spółkę chrześcijańskich szewców zrobione buty i z tymi butami, udawał się do Żyda, u którego terminowałem, celem uzupełnienia jakichś drobnych braków, jak ujęcia lub dodania obcasów, ukucia podkówkami lub sztyftami, wyprawienia cholew w regularne karby, wytarcia wewnątrz buta kołków itp. — wtedy wymawiali się zazwyczaj Żydzi chwilowym brakiem czasu, polecając interesowanemu buty zostawić, a za pewien czas przyjść po nie.

A skoro interesowany oddalił się, wyprawiano i mnie z izby za jakimś drobnym sprawunkiem. Wyszedłem więc, ale że miałem ich w podejrzeniu, z ukrycia za drzwiami śledziłem bacznie, co też oni robić będą. A rzetelni Żydki w przekonaniu, że pozbyli się niewygodnego świadka, zabierali się wtedy do wykonania ulubionego proceduru, na tym polegającego, że w przyszwę buta w tym miejscu, gdzie z podeszwą się schodzi — a więc w miejsce niedostrzegalne — zapuszczano ostry koniec noża i nacinano... Rzecz zrozumiała, że tak operowana przyszwę rychło pęknąć musiała, a naiwny, w tak zbrodniczy sposób poszkodowany człowiek tracił zaufanie do majstrów chrześcijańskich i szedł do Żydów. To znów bywało, że ktoś przyniósł kupioną przez siebie skórę podeszwianą i buty celem podzelowania, a skoro oddalił się, Żydki skórę tę świadomie a niemiłosiernie rozklepywali na kamieniu, wałąc młotkiem jak kowal w rozżarzone żelazo na kowadle, skutkiem czego zelówka prędko się zdarła.

Stara to prawda, że społeczność żydowską cechuje wrodzone, czy, jak chcą inni, rasowe — ogólnie się wyrażając — uprzedzenie do chrześcijan, a przede wszystkim do Polaków. I śmieszna jest naiwnością rozprawiać o „asymilacji” Żydów; ci zaś publicyści, którzy do tego ulubionego tematu ciągle wracają, popełniają najkapitałniejsze absurdu.

Czyż tyluwiewkowe z nami na naszej ziemi Żydów pożycie niczego nas nie nauczyło? Zabór większych własności ziemskich, zlicytowanie tysięcy chłopskich posiadłości, rozpojenie i demoralizacja chłopstwa i mieszczaństwa, a miejscami nawet zupełne wyępienie tego ostatniego; opanowanie handlu, przemysłu i wszelkich zyskownych przed-

<sup>122</sup>oficyna — budynek przy dworze, przeznaczony dla służby lub na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>jabrzędź (reg.) — topola czarna (topola nadwiślańska). [przypis edytorski]

Żyd

Antysemityzm

Antysemityzm

siębiorstw w naszym kraju, lupanary<sup>124</sup> i szerząca się stąd moralna i fizyczna deprawacja, handel „żywym towarem” itd., itd. — czy to nic? A jak osądzić to ustawiczne oczernianie nas przez Żydów w prasie zagranicznej, urabianie tam najgorszej o nas opinii, szkodenie nam w sprawach międzynarodowych? Zaiste wielką prawdę powiedział poeta:

„Krzyczymy, że nam Polskę wzięli Rusy, Prusy  
I wstręt do nich czujemy za to z całej duszy,  
A dziś, gdy nam ojczyznę rozbierają Żydzi,  
To mało kto z Polaków czuje to i widzi”.<sup>125</sup>

Na szczęście w ostatnich czasach społeczeństwo nasze otwiera oczy na grożące nam z tej strony niebezpieczeństwo. A co najgodniejsze zastanowienia to to, że tacy nawet sławni publicyści jak Aleksander Świętochowski<sup>126</sup> i Andrzej Niemojewski<sup>127</sup>, obaj do niedawna sympatycy Żydów, przejrawszy duszę żydowską, walkę bezwzględną semickiemu molochowi<sup>128</sup> wydali. Toteż teraz żydostwo zieję w nich jadem potwarzy, że aż dziw, jak coś podobnego obcy przybysz waży się w naszym domu wyrabiać.

## VII

*Przy własnym warstacie. U Bęca. Smutna strona wsi. Do Wielowisi. Trudność położenia. Książki od prof. St. Tarnowskiego. Do Krakowa.*

Wróciwszy do domu po odbytej praktyce, nie od razu mogłem się oddać samodzielnej pracy, gdyż na założenie własnego, choćby skromnego warstatu potrzebną była jakaś gotówka, której nie posiadałem. Na propozycję miejscowego szewca przyjąłem u niego zajęcie jako czeladnik tymczasowy, w nadziei, że za parę miesięcy zaoszczędzę z zarobku na własny warsztat. Wysokość ugodzonego wynagrodzenia wynosiła z reńskie tygodniowo i wikt. (Za nowe chłopskie juchtowe<sup>129</sup>, trwałe buty płacono wówczas 6–8 reńskich). Rychło atoli przekonałem się, że nawet za dziesiątek lat pracy w takich warunkach niczego się nie dorobię, albowiem regularnie co tygodnia zarobek mój na konieczne potrzeby rodzice wydawali. Po paru tedy miesiącach, w przeświadczeniu, że w domu, choćby przyszło wykonywać najprostszą robotę, więcej zarobię, rozwiązałem umowę z moim pryncypałem<sup>130</sup>, a posiadając już coś par kopyt i najniezbędniejsze dla prowadzenia roboty przedmioty, rozpocząłem karierę „samodzielnego majstra”. Ale i tu powtórzyła się ta sama nieszczęsna historia z zarobkiem. Nie mogąc zaopatrzyć się w konieczny materiał, z dnia na dzień nędznie wegetowałem.

Dość często zdarzało się, że posiadając zaledwie 40–50 centów całego kapitału, z tą gotówką wybierałem się do oddalonego 21 kilometrów Tarnobrzegu po materiał. Innym znów razem trafiło się, że gdy mi w mieście zabrakło parę reńskich dopłaty za rzemień, zostawiłem Żydowi w zastaw jedyny z grzbietu ciepły płaszcz i w lekkim ubraniu, ze zwojem skór pod pachą, w trzaskający styczniowy mróz, pędem prawie, by nie ulec zamarznięciu, przebiegłem bez wytchnienia powrotną do domu trzymiłową drogę.

Co prawda, to nie ja jeden tylko pracowałem. Dłubał ojciec, co umiał, przędła mat-

Bieda, Głód

<sup>124</sup>lupanar (daw., z łac.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>Krzyczymy, że nam Polskę wzięli Rusy, Prusy... — wiersz stanowiący motto wydanej w 1897 antysemitycznej rozprawy pt. *O Żydach*, napisanej przez ks. Mateusza Jeża, katechetę w gimnazjum św. Anny w Krakowie; ze względu na jej antysemityzm władze austriackie konfiskowały rozprawę, zaś autor wznawiał ją pod zmienionymi tytułami: *Tajemnice żydowskie* (Kraków 1897 i 1898) oraz *Nasi przyjaciele* (Kraków 1902); obszerne fragmenty przedrukowywała ówczesna prasa katolicko-społeczna. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>Świętochowski, Aleksander (1849–1938) — polski pisarz, publicysta, filozof, historyk i działacz społeczny czołowy przedstawiciel pozytywizmu warszawskiego; założył tygodnik „Prawda”; prowadził działalność społeczno-oświatową, propagując idee postępu, powszechnej oświaty, równouprawnienia kobiet i Żydów. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>Niemojewski, Andrzej (1864–1921) — młodopolski poeta, pisarz i publicysta, religioznawca oraz społecznik; wydawca wolnomyślicielskiego, antyklerykalnego, religioznawczego tygodnika „Mysł Niepodległa”, z czasem ewoluującego w kierunku antysemityzmu. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>Moloch (mit. semicka) — bóg Fenicjan i Kananejczyków, któremu wg Biblii miano składać ofiary z dzieci; przen.: coś bezlitosnego, złego, pochłaniającego niewinne ofiary. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>juchtowy — zrobiony z grubej wyprawionej skóry bydłowej. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>pryncypał (przestarz.) — zwierzchnik, pracodawca. [przypis edytorski]

ka dniami i nocami, także brat Franek prawie codziennie na zarobek do miejscowego dworu chodził. Wszystkie te razem wzięte zarobki były przecież marne, w tym bowiem czasie środki żywności z powodu nieurodzajnego lata były bardzo drogie. Franek (spory już wówczas wyrostek) za cały dzień pracy na wiosnę w dworskim ogrodzie zarabiał zaledwie dziesięć centów. Ziarno nabywała matka po garści kolejno w tej i owej chałupie, a wysuszywszy je na blasze kuchni, dawała mi je do zmielenia w żarnach, przy której to robocie pomagał mi Franek, skoro do domu z całodziennej we dworze pracy powrócił. Raz przy takim mieleniu zaleciał mi od Franka niemiły zapach, że wręcz trudno było wobec niego wytrzymać. Na wszelkie jednak pytania, skąd ten fetor pochodzi, nie chciał mnie objaśnić. Ale w końcu przyczyna się wydała. Oto będąc zajęty kopaniem grządek w dworskim ogrodzie, znalazł biedak parę zeszlórocznych, dobrze zachowanych cebul i tym to specjałem skurcz żołądka tłumił.

Żył w sąsiedniej obok Wielowsi wsi, Trześni, sędziwy gospodarz, dość wówczas zamozny, Michał Bęc. Gospodarz ten, znający mnie jeszcze z czasów mego terminatorstwa, zamierzając zaopatrzyć siebie i domowników w obuwie, sprowadził mnie z całym moim szewskim warszatem do swego domu, i tam też po zakupieniu przez gospodarza większej ilości skór, zabrałem się do roboty. Tu już moje położenie korzystnie zmieniać się zaczęło.

Pocziwy Bęc lubił słuchać opowieści, toteż najwięcej przy mnie przesiadywał; ja zaś, nie przerywając roboty, opowiadałem mu już to prawdziwe, już też zmyślone, z książek wyczytane, przeważnie zabawne opowieści, których on słuchał z przejęciem, od czasu do czasu wybuchając śmiechem; a że nie najgorszej był tuszy, trzymać się musiał to za brzuch, żeby nie pęknąć, to poręczy kanapy, na której siedział, by się na ziemię nie zsunąć. I tutaj lżej oddychać począłem, a głodu nie zaznałem.

Z dni pobytu mego w domu Bęca zanotować wypada dla charakterystyki tego pocziwego kmiecia następujący wypadek. W pewien dzień targowy udali się gospodarstwo do miasta, zostawiając w domu mnie i służbę, w polu i oborze zajętą. Podczas południowego odpoczynku pastuch, nie czując nad sobą dozoru, poczył sobie trocha za wiele pod moim adresem pozwalając. Gospodarz po powrocie, dowiedziawszy się o nagannej swawoli urwisa, przywołał go przed siebie i rozkazał mu klęknąć przede mną, co gdy winowajca uczynił, Bęc potężnym rzemieniem jął mu zapamiętałe plecy bęcać, że musiałem tę zapamiętałość karzącego rozbrajać, bo nikt z domowników protestować nie śmiał.

Wspominam o tym dlatego, że obyczajność wyrostków i dzieci, a nierzadko i starszych osób w odnoszeniu się do ludzi kalectwem dotkniętych w wielu jeszcze naszych wsiach dużo pozostawia do życzenia. Dość pod tym względem na sobie doświadczyłem. Oto np. idę ulicą, za mną zaś drepcę pięcioletnia dziewczynka z nieprzyzwoitymi gestami, a pewnie jeszcze nieprzyzwoitszymi słowami; mamusia zaś, stojąc na progu domu, z radosnym uśmiechem podziwia spryt swej latorośli, a zachęca do brzydkiej swawoli.

Mam od najmłodszych lat wrodzone poczucie osobistej godności i hart woli, nie uważałem więc za stosowne reagować na tego rodzaju zaczepki osobników niespełna rozumem. Ale czy wszyscy jednak potrafią równowagę ducha utrzymać? A kalek wszelkiego rodzaju po naszych wsiach mamy, niestety, aż za wiele. Oto drogą przez wieś posuwa się wolno ociemniały nędzarz, kijem miejsce przed sobą macając; za nim i przed nim gromada rozswawolonych dzieci: ten go szarpnie za połę łachmana, tamten kij albo polano pod nogi mu podstawi, ów zaś nad samym uchem przeraźliwie wrzaśnie... Nieszczęśliwy kaleka próżno na wszystkie strony kijem wywija, wreszcie przeklina, a półdzika zgraja zanosí się od śmiechu. Za chromym zaś przedrzeźniają kulawiznę, za plecyma głuchoniemego rozlegają się najordynarniejsze wyzwiska. Jakiż żal i ból w duszy i sercu tych nieszczęśliwych rodziców być musi!

Jest to jedna z najsmutniejszych i najboleśniejszych stron wsi naszej. Oj, rodzice, rodzice, a osobliwie matki! Inaczej kształćcie wy serca dzieci waszych, jeżeli nie chcecie, by na ich późniejszym życiu klątwa niebios zawisła.

Do Bęca niemal codziennie zachodzili gospodarze z wsi sąsiednich, a najwięcej z Wielowsi. Znajomi z Wielowsi, przypatrzwszy się mej robocie, prosili, ażebym, skoro gospodarzowi robotę wykończę, przyszedł do nich z warszatem. Uprawszy się w końcu z robotą u Bęca, szewski mój stółek, kształt kwadratowego stolika mający, z tą różnicą, że wierzch jego stanowiła skóra, kładłem na ziemi nogami do góry i niby w pakę układa-

Kaleka

Kaleka

łem w nim mój „warstat”, po czym objąwszy go powrozem i założywszy sobie na plecy, wyruszyłem w stronę Wielowisi, przez Bęca na odchodnym żegnany słowami: „Na drugą służbę idziesz. Szczęść ci Boże!”

Jakkolwiek do Bęca, a od niego do Wielowisi przyszedłem na pewien tylko czas, stało się przecież, że do Wrzaw nie miałem po co wracać; po wykończeniu bowiem roboty jednemu, drudzy mnie brali zaraz do siebie — po prostu rozrywany byłem. Wędrowałem tedy „od chałupy do chałupy”, nie odmawiając nikomu, kto mnie prosił. Przypatrzałem się przeto dokładnie życiu tak pierwszych we wsi gospodarzy, jak i chudobnych chałupników, używając u pierwszych wszystkiego z zasobnych spiżarni, a u drugich dzieląc postne ziemniaki z żurem, co wszakże nie decydowało o tym, do kogo najprzód mam pójść. Szedłem tam, gdzie sercem prostym a życzliwym mnie proszono. U biedaków jednak, jako że sam do tej kategorii ludzi należałem, czułem się bardziej swobodny. Więc w butach mej roboty paradowali: i gospodarz majątny, i chałupnik chudobny, i dziewczyna, córka poważna, i sierotka biedna, i pan organista, i dziaduś dzwonnik, wreszcie ksiądz proboszcz, i pan rządca we dworze.

Podczas zajęcia przy warstacie w poszczególnych domach, w przerwach dnia, a zwykle wieczorami, kiedy domownicy w izbie zgromadzeni byli, opowiadałem im różne historyjki i anegdoty, najczęściej z roczników „Dzwonka” i „Chaty” wyczytane; poza tym deklamowałem poważne treścią wiersze, jakich sporą wiązkę na pamięć umiałem, a między nimi legendy o św. Janie Kantym, jak:

„Było to w maju. Na nieba lazurze  
Księżyc się wdzięcznie przymilał naturze”.

albo:

„Błysła na niebie jutrzienka złota,  
Gwiazdy w nieznane mkną światy,  
Z rosą poranną łzami sierota  
Nadwiślańskie skrapia kwiaty”.

Dalej legenda o wskrzeszeniu przez św. Jacka wybitego gradem łanu pszenicy w Kościelcu:

„Koło Krakowa w rozkosznej dolinie  
Gdzie nasza Wisła srebrną wstęgą płynie”

A gdy przyszedłem do słów:

„Już gospodarze sprzątają stodoły,  
Parobcy jarzma gotują na woły,  
Dziewczęta hoże przy głośnej gawędzie  
Pachnącą rutę zbierają na grzędzie,  
A w chatce, stojąc przy dymnym kominie,  
Prostą wieczerzę warzą gospodynie”

kobiety szczególnie były zachwycone; to, z taką prostotą określenie sielskiego życia, tak im do serca przypadło.

Toteż po skończeniu jednego opowiadania domagali się dalszego, że częstokroć w prawdziwym byłem kłopotcie, skąd tematu do opowieści zaczerpnąć.

Po kilku miesiącach pobytu w Wielowisi, przekonawszy się, że roboty tutaj nigdy mi nie braknie, powziąłem zamiar wynająć osobną chałupę i rodziców sprowadzić, ta bowiem ustawiczna przeprowadzka warstatu z chałupy do chałupy ani praktyczną, ani też wygodną nie była.

Wójt ówczesny, Jędrzej Piętań, nasz bliski krewny, bardzo zacny i poważany człowiek, odradzał mi tego zamiaru, mówiąc: „Jeżeli chcesz warstat mieć w miejscu, to możesz

u mnie stale mieszkać i stołować się za skromną opłatą; ze sprowadzeniem rodziców nie masz się czego kwapić. Tam zawsze prędzej znajdą oni zarobek, o który byłoby im tutaj trudno; sam zaś nie podołałbyś ich utrzymać i zamiast warstat sobie rozszerzyć, zejdziesz z powodu braku potrzebnej w rzemiośle gotówki do roli zwykłego łatacza i tym samym przyszłość sobie zwiczniesz”. Jakkolwiek rada była szczerą, przecież względ na rodziców przemógł i niedługo potem sprowadziłem ich do Wielowśi, gdzie zamieszkaliśmy w chalupie wynajętej od Rafała Czecha, bardzo poczciwego i światłego małorolnego kmiotka, z którym do dziś łączą mnie serdeczne stosunki.

Odtąd troska utrzymania całego domu spoczęła na mojej głowie, a zarazem sprawdziły się słowa Piętaka. Ojciec otrzymał wprawdzie posadę pisarza gminnego w Wielowśi, lecz na posadzie tej długo się nie ostał. Pracowałem więc, ile starczyło sił, całymi dniami od godziny 4 rano do 8, 9, 10 wieczorem, a nieraz do 12 i 2 w nocy, mimo to robocie nie mogłem podołać.

Zdawać by się mogło, że przy takim nawale roboty i wytężonej pracy musiałem jaki taki grosz zaoszczędzić, tym więcej że pieniędzy darmo nie trwonilem, w karczmie nie bywałem, a na weselu rzadko kiedy widziano mnie — ale gdzież tam! Brak grosza ustawicznie odczuwać się dawał, ku czemu w dużej mierze przyczyniali się sami moi odbiorcy, nie płacąc gotówką za robotę, lecz każąc czekać w nieskończoność. A przecież żyłem i rodzinę utrzymywałem jedynie z tego, com zarobił. Bywało więc tak: zamawia ktoś buty i daje skromny zadatek; ja zaś, nie mając gotówki na materiał, bo ludzie z uiszczeniem zaległości, nieraz stosunkowo znacznych, nie kwapili się, a chcąc jakoś żyć, zniewolony byłem brać wszystko na kredyt. „Usłużny” Żydek, naborgowawszy<sup>131</sup> mi już skór na kilkadziesiąt reńskich, stale podnosił mi cenę materiałów, ja zaś, nie mogąc uiścić zaległego długu, przystać musiałem na znacznie wyższe ceny, niżby to za gotówkę wyniosło, brnąc stopniowo w coraz głębsze bagno długów. Biada rzemieślnikowi, który w szpony Żyda-lichwiarza wpadnie!

Najmilszą rozrywką monotonna płynącego mi życia były obok książek gazety, których każdej soboty niecierpliwie z poczty wyglądałem. Książki początkowo pożyczałem u miejscowego wikarego, ks. Antoniego Rychta. Przypomina mi to, jak ochotnie brano się na wsi do czytania, jeżeli wieśniakowi dostała się do ręki dobra książka. Oto wójt Piętak, przyniósłszy raz od wspomnianego księdza *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza, książkę mało wówczas na wsi znaną, tak przejął się tą powieścią, że od czytania jej nic go oderwać nie zdołało. Zmuszony do śniadania czy obiadu, jedząc czytał; przychodzili ludzie ze sprawami do wójta, on czytał; spowodowany wyjść za próg domu, wracał wnet i czytał, czytał i czytał, a przy Zagłobie tak się pocziwina śmiał a śmiał, jak gdyby go w pachach ktoś łaskotał, że od śmiechu tego twarz czerwoną formalnie miał splakaną. Tę to książkę od ks. wikarego miałem i ja u siebie, a że sława jej szybko się po wsi rozniosła, musiałem ją zaraz po przeczytaniu, nie pytając właściciela o pozwolenie, odpożyczyć jednemu z sąsiadów, ten zaś drugiemu, drugi trzeciemu i tak dalej i dalej. A kiedy mi ją po dłuższym czasie z powrotem odniesiono, tak była już rozwichrzona, że nie śmiejąc książki w takim stanie księdzu odnosić, musiałem ją na swój koszt dać na nowo oprawić.

Ale malutka liczba przystępnych dla wiejskiego czytelnika książek, jakie ks. wikary posiadał, rychło przewertowaną została; nie mając zaś skąd pożyczyć, a na zakupno nie zawsze stać mnie było — gdy żądza zdobycia ich spokoju mi nie dała (bo nie pojmuję doprawdy, jak bez książki człowiek żyć może!), ostatecznie wzięłem się na sposób. Przypomniałem sobie mianowicie, jak to ojciec mój niejednokrotnie wspominał hr. Stanisława Tarnowskiego<sup>132</sup>, od którego podczas odsadywania więzienia na zamku krakowskim za udział w wypadkach 1863 roku wiele doznał dobrodziejstw. Postanowiłem, wyzyskując tę dawną ojca znajomość, zwrócić się do hrabiego z prośbą o książki.

Nic nikomu nie mówiąc, napisałem do hrabiego list i po dłuższym wahaniu oddałem na pocztę. Ale już na drugi dzień żalować począłem swego kroku. Jak to rozumowałem taki pan, rektor najwyższej w Polsce uczelni, prezes Akademii Umiejętności, miałby czytać nieudolne listy nieznanego parobczaka i na nie odpowiadać!... A skoro już piąty dzień

<sup>131</sup>*borgować* (daw.) — dawać coś na borg, tj. na kredyt. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*Tarnowski, Stanisław* (1837–1917) — hrabia, krytyk i historyk literatury, jeden z głównych przedstawicieli konserwatystów krakowskich, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Akademii Umiejętności. [przypis edytorski]

od nadania listu upłynął, pewny byłem, że pomysł mój pożądanego skutku nie odniesie. Ale szóstego dnia doręczył mi posłaniec fracht<sup>133</sup> pocztowy. Kopnąłem się natychmiast do Tarnobrzega na pocztę, skąd przydzwigałem do domu pięciokilogramowej wagi paczkę książek, które ani nie umiem opisać, jaką radość mi sprawiły. Między nadesłanymi książkami znalazłem także dzieło zacnego ofiarodawcy, pt. *Nasze dzieje w ostatnich stu latach*, popularną, śliczną, przystępnym każdemu językiem napisaną książkę, z której potrzebne wiadomości czerpałem. Książkę tę, aczkolwiek obecnie dość już nadszarganą, przechowuję jako miłą pamiątkę.

Odtąd, gdy znów dalszych książek zapotrzebowałem, już śmielej do „Pana Stanisława” — jak hrabiego popularnie w gronie jego wielbicieli nazywano — pisałem i zawsze książki otrzymywałem.

W końcu jednakże już mi same książki nie wystarczały! Zaprañałem zwiedzić Kraków. Tu już trudniejsze było przedsięwzięcie. Na kosztą jazdy koleją byłbym się zdobył, ale z utrzymaniem w tak wielkim, a w dodatku zupełnie nieznanym mieście jak będzie? Napisałem więc do mego zacnego protektora list, w którym wyluszczywszy gorące pragnienie zwiedzenia Krakowa i jego pamiątek, prosiłem go o umożliwienie mi osiągnięcia spełnienia pragnień, oświadczając zarazem, iż udzieloną w tym względzie pomoc odrobień. Wyobrażałem sobie bowiem w swej naiwności, że hrabia zgodzi się na to, iż w pewnych godzinach będę robił u niego czy to w domu, czy w ogrodzie, wolne natomiast chwile obracając na zwiedzanie pamiątek.

Upłynęło kilka tygodni, a odpowiedź nie przychodziła. I kiedy, zwątpiwszy już w rzeczywistnienie moich marzeń, sprawy tej pomału zapomniałem, jednego dnia otrzymałem list — na poczcie w Tarnobrzegu nadany — w którym po rozcięciu koperty wyczytałem, co następuje:

„Dzięków, 27 sierpnia 1896. List odebrałem tu. Teraz nikogo z nas w Krakowie nie ma i nie wrócimy na stały pobyt aż w październiku. Ale jeżeli chcesz przyjechać obejrzeć Kraków, to zawsze możesz u nas mieszkać, bez żadnego odsłuzenia; tydzień aż nadto wystarczy, żeby obejrzeć. Ale myślę, że lepiej przyjechać wtedy, jak ja już będę w domu. Do widzenia i szczerę życzenia pomyślności. St. Tarnowski”.

Można sobie wyobrazić, jaką list ten, który między pamiątkami starannie przechowuję, radość mi sprawił.

W październiku 1896 r. wyjechałem do Krakowa. Przybywszy na miejsce, udałem się przed pałac hrabiego na Szlaku (przy ulicy Warszawskiej). Stary stróż atoli zatrzasnął mi bramę przed nosem. Na szczęście w przewidywaniu pewnych trudności przygotowałem jeszcze w domu list; dobywszy go, prosiłem o doręczenie hrabiemu. Stróż list wziął i oddał się, zostawiając mnie na ulicy. Po krótkiej chwili zobaczyłem stróża, z pałacu spieszącego „na dyrdaka”. Teraz oczywiście bramę otworzył i do pałacu mnie zaprowadził. Za chwilę zjawiała się hrabina. Po przywitaniu i wstępnej wymianie słów oznajmiła ku memu smutkowi, że hrabia chory, nie będę więc mógł na razie z nim się widzieć; po czym dała mi znak, bym tymczasem usiadł i poczekał na posiłek, który też służba niebawem podała.

Jakkolwiek nie wątpiłem, że hrabina wiedzieć musi, iż nie słyszę, mimo to przygotowany byłem na niejedną początkową trudność co do wzajemnego porozumienia się — tymczasem rozmowa poszła nadspodziewanie gładko. Uwiadomiona o moim przyjeździe, zanim ku mnie wyszła, zaopatrzyła się w papier i ołówek i początkowo przy pomocy pisma zadała mi kilka pytań i udzieliła wyjaśnień; poza tym posługiwała się już w rozmowie ze mną gestykulacją i to tak wybornie, że nawet rodzice moi, przy boku których od dziecka żyłem, podobnej sztuki nigdy dokazać nie umieli. Podczas tej naszej rozmowy wyraziła hrabina zdziwienie, że jak na takiego, co już 18 lat nie słyszy, jeszcze bardzo dobrze mówię.

Po krótkim odpoczynku odprowadzony zostałem do państwa Matusiaków, u których przez cały czas mego w Krakowie pobytu mieszkać miałem, hrabina bowiem opiece służby powierzać mnie nie chciała.

<sup>133</sup>fracht pocztowy — dziś: awizo, pismo zawiadamiające o nadejściu przesyłki do odebrania na poczcie. [przypis edytorski]



Rozpocząłem więc moją po Krakowie wędrówkę, która sześć dni trwała. Nie będę jednakże opisywać doznanych wrażeń, których niezatarte piętno to serce Polski bezcennymi skarbami swymi na młodej wrażliwej duszy mojej wycisnęło, bo pióro moje za słabe ku temu. Zaznaczę tylko, że z wycieczki tej nie mogłem korzystać tyle, ile każdy inny z nieodjętym słuchem korzystać może, tym bardziej jeszcze, że chodziłem bez przewodnika.

Spomiędzy drobnych zdarzeń moich w Krakowie z owego czasu przytoczę jedno. Pewnego wieczora, wracając z moich po mieście wędrówek na stację, wstąpiłem gwoli wytchnienia do jednej z podrzędnych piwiarni na Kleparzu, każąc podać sobie szklankę piwa, a wydobywszy tytoń, skręcałem papierosa. Wtem od przeciwnego końca stołu przysunęło się do mnie dwóch mężczyzn, obaj w sile wieku. Jeden z nich o typie mieszczucha, całą swą fizjonomią przypominał piwiarnianego bywalca; drugi zaś, z kusa ubrany, z bokobrodami, już na pierwszy rzut oka zdradzał cudzoziemca. Pierwszy przedstawia mi się: „Syn obywatela Krakowa”, po czym wskazując na swego towarzysza, dodał: „Ten jest Saksończyk” i bezpretensjonalnie sięgnął po mój tytoń, który po skręceniu sobie papierosa bez pytania o moją zgodę podsunął swemu towarzyszowi. Ów zaś, zagłębiwszy w środek paczki trzy palce, wydobył sporą porcję tego narkotyku. Podsuwam mu bibułkę w nadziei, że resztę do paczki odłoży, lecz miły Saksończyk przecząco pokręcił głową. „Co — myślę zaniepokojony — taki drogi tytoń będzie szwab w fajkę ładował?...” Ale Niemiec, przechyliwszy w tył głowę i rozdziawiwszy gębę jak kania dziób, kiedy napoju deszczowego pożąda, towar ten do niej wpakował. „Aha, będzie żuł” — myślę dalej i ciekawy byłem widzieć, jak też wygląda to żucie, podczas którego żółty sok z śliną zmieszany, wydobywając się kątami ust żującego, po brodzie mu spływa, lecz sympatyczny gość mlasnął tylko językiem — i po wszystkim! Formalnie zjadł ten specjał, który musiał mu bardzo smakować, bo się oblizywał, a pożądliwie na resztę spozierał, raczej bojąc się, by mi wszystkiego nie zjadł, schowałem tytoń do kieszeni. A kiedy w dodatku miły „syn obywatela Krakowa” zwrócił się do mnie ze skromnym życzeniem, żebym „trzy piwa zapłacił”, skorzystałem z chwilowego zgiełku i uściwszy się, niepostrzeżenie opuściłem piwiarnię.

Przed wyjazdem z Krakowa udałem się do czcigodnych państwa Tarnowskich, by im za to pokrzepienie ducha wizją naszej przeszłości podziękować. Tu hrabina oprowadzała mnie po całym swym pałacu, pokazując dzieła sztuki, zabytki i pamiątki rodzinne, a uciążliwość rozmowy ze mną nie zniechęcała jej. W pracowni literackiej męża pokazała mi między innymi oryginalny obraz mistrza Matejki, osobistego przyjaciela autora *Historii literatury polskiej*, wyobrażający Królową Korony Polskiej w otoczeniu świętych Polaków, dalej obrazy różnych naszych i obcych malarzy, dawną zbroję itd. W jednej z sal zdjęła ze ściany karabelę, a wydobywszy ją z pochwy, podprowadziła mnie ku oknu i pokazała na klindze wyryty taki napis:

„Krzyż na czoło. Kord na wroga.  
Tnij, a śmiało — w Imię Boga.  
Z temi słowy masz tę szablę.  
Gdy nią rąbniesz, to już diabła.  
Polak radzi Polakowi,  
Ojciec w darze śle synowi”.

Napis ten tak się mi podobał, że wyraziłem życzenie posiadania jego kopii, co też hrabina własnoręcznie na białej kartce jednej z ofiarowanych mi książek wypisała.

Nie mogę się wstrzymać, żeby na tym miejscu nie wyrazić z całej tej Pani gorącej wdzięczności za to serdeczne ciepło, jakim mnie, prostego, ubogiego chłopca, w swym domu darzyła. Zawsze uśmiechnięta, brała mnie pod ramię i prowadząc od przedmiotu do przedmiotu, z pokoju do pokoju, objaśniała celniejsze dzieła i zabytki, zapisując objaśnieniami tymi całe arkusze papieru.

Zobaczywszy się jeszcze z Prezesem Akademii Umiejętności i podziękowawszy mu za względy, obdarowany w końcu stosem książek, wyjechałem do domu, uwożąc z sobą miłe wspomnienia, połączone z serdecznym uczuciem wdzięczności dla czcigodnych tych osób.

## VIII

*Mój ożenek. Pożar Wielowsi. Pierwsza nieruchoma własność. „To wszystko łyżki żuru niewarte”. List Żyda-skórnika.*

W parę miesięcy później, 19 stycznia 1897 r., w kościele parafialnym w Wielowsi odbył się mój ślub z Gertrudą Wrykówną, ubogą dziewczyną, sierotą po obojgu rodzicach. Żonę sprowadziłem do Wielowsi, gdzie wraz z rodzicami mymi zamieszkiwaliśmy, wynajęty od paru lat za czynszem od miejscowego dworu, dom.

W maju 1898 r. wybuchł w Wielowsi wielki pożar, część wsi w perzynę obracając. W pożarze tym spłonął także zamieszkiwany przez nas dom, a wraz z nim część skromnego naszego mienia.

Wielki ten pożar spowodowany został przesądem jednej z gospodyń, która zakupiony od wynoszącego się do Ameryki Żyda dom postanowiła wykadzić ziołami, podobno w celu „wypędzenia złych duchów”. Podczas tego „kadzenia” zajęła się pajęczyna, od pajęczyny strzecha, wreszcie cały dom stanął w płomieniach, a silny wicher wyrwijając płonące snopki ze strzechy, unosił je na słomiane dachy dalszych zabudowań, miejscami nawet na tysiącmetrową odległość. Tak więc przez zabobon nieopatrznej kobiety „wykadzonych” zostało dokumentnie około 50 domów wraz z zabudowaniami gospodarczymi.

Spowodowany tym pożarem brak mieszkań w Wielowsi zmusił nas do przeprowadzenia się do sąsiedniego Sielca, gdzieśmy u brata żony, Michała Wryka, zamieszkali. Rodzice pozostali w Wielowsi.

Wkrótce po pożarze ogłosił hr. Z. Tarnowski, właściciel wielowiejskiego dworu, sprzedaż placu, na którym spłonął był dom przez nas zamieszkiwany. Postanowiłem plac ten kupić; nie posiadając jednakże gotówki, zwróciłem się ostatecznie do klasztoru ss. dominikanek w Wielowsi z prośbą o pożyczkę. Że zaś klasztorowi temu zależało bardzo na tym, bym w jego pobliżu osiadł, byłem bowiem „generalnym opiekunem nóg i odcisków” Wielebnych Sióstr, pożyczkę tę dostałem. Udałem się więc do Dzikowa i do rąk hrabiego całą żadaną przezeń kwotę 500 reńskich złożyłem. Z kwoty tej 50 reńskich hrabia zwrócił mi ze słowami: „Ponieważ Kuraś złożył całą należność i ze względu na dobre stosunki z nim, 50 reńskich mu daruję”.

Tak stałem się pierwszy raz posiadaczem własnej parceli, obszaru 370 sążni<sup>134</sup> kwadratowych. Później kupiłem w sąsiedniej wsi starą komórkę, którą do Wielowsi zwiózłem, i dokupiwszy jeszcze cegłę, postawiłem jaką taką chatynkę, mizerną wprawdzie, ale własną, i do niej z żoną i dzieckiem sprowadziłem się.

Ale chociaż miałem już własny kąt, nie uwolniło mnie to od borykania się z niedostatkiem. Na zakupno bowiem placu i postawienie na nim chałupy pozaciągałem krótkoterminowe długi, dziećmi Bóg nas darzył, a poczciwi ludziska podług dawnego, wygodnego dla siebie systemu za robotę płacili.

Nareszcie usłużny handlarz skór, zauważywszy, że coraz trudniej wegetuję, wytoczył mi skargę sądową o zapłacenie całkowitej zaległości za pobrane u niego na borg towary. Istniała już na szczęście w Wielowsi parafialna Spółka Oszczędności i Pożyczek, oparta na systemie kas Raiffeisena<sup>135</sup>, powstała dzięki staraniom światlejszych miejscowych kmieci, z Walerianem Wrykiem i Władysławem Ossowskim na czele, przy moralnym poparciu miejscowego proboszcza, śp. ks. Władysława Ciechanowicza. Do tej więc kasy wniosłem podanie o pożyczkę w kwocie 600 koron<sup>136</sup> (300 reńskich = zlr). Pożyczkę mi uchwalono, ale nikt poręczyć mi nie chciał. Musiałem wierzycielnością tą obciążyć hipotekę swej realności<sup>137</sup>.

<sup>134</sup>sążeń (daw.) — dawna miara długości, określana przez zasięg rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny, wynosząca ok. 1,9 m; 390 sążni kwadratowych to ok. 1350 m<sup>2</sup>. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>kasy systemu Raiffeisena — kasy oszczędnościowo-pożyczkowe działające wg idei Friedricha Wilhelma Raiffeisena (1818–1888), założyciela jednej z pierwszych spółdzielni tego typu w Europie (1864); od kas zaliczkowych różniły się m.in. centralizacją całego ruchu. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>korona — historyczna waluta austro-węgierska, wprowadzona w 1892, zastąpiła guldena austriackiego (guldeny wymieniano na korony w relacji 1:2); dzieliła się na 100 halerzy. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>realność (przest.) — posiadłość, nieruchomość. [przypis edytorski]

Pożar, Zabobony, Żyd,  
Wieś

Zaraz po podjęciu pożyczki ujawniło się, jak podejrzany<sup>138</sup> byłem o marnowanie pieniędzy. Oto wspomniany ks. Ciechanowicz, kapłan cieszący się pełnią zaufania swych parafian i do mnie osobiście z sympatią się odnoszący, przywołał do siebie moją żonę i upomniął ją, by pilnowała, żebym książek nie kupował. Podejrzenie zresztą niesłuszne, bo książki otrzymywałem bezpłatnie od hr. Stanisława Tarnowskiego; prenumerowałem tylko dwa tygodniki, kosztem ośmiu koron rocznie, za co wielu sąsiadów nazywało mnie pogardliwym niby w ich przekonaniu mianem „gazeciarza”, a na które to pokpinkie rozmaitych duchowych matolek nie miałem najmniejszej potrzeby odpowiadać. Głębsze natomiast zastanowienie wywołać musiał następujący, charakterystyczny szczegół: Oto jeden z rodziny żony, chłop niezwykle uczciwy, ale z ograniczonym poglądem na świat i sprawy naród nasz bliżej obchodzące, wstąpiwszy do mnie pewnego wczesnego poniedziałkowego ranka i zobaczywszy na stole porozkładane książki, nad którymi dnia poprzedniego do późna w nocy pochylony siedziałem, odezwał się do przygodnego znajomego, książki te palcem wskazując: „To wszystko łyżki żuru nie warte”...

Mając już w ręku pożyczone pieniądze, zaspokoilem przede wszystkim Żyda-skórnika, a poczyniwszy przy tej sposobności u niego drobne zakupy, porzuciłem go, zaopatrując się odtąd w potrzebny materiał u jego bratanka, Suchera Wiesenfelda, chrześcijańskiego bowiem handlu skór w Tarnobrzegu nie ma.

Dla rozrywki oraz dla łatwiejszego wyrobienia sobie pojęcia, ile wspomniany pierwszy handlarz zarabiał na mnie musiał, dalej dla przykładu, jak Żydzi nawet między sobą współzawodniczą, o ile chodzi o ujęcie w swe polipie macki chrześcijańskich odbiorców, przytaczam poniżej charakterystyczny list, do mnie przez starego skórnika wystosowany, a przytaczam go w całości w niezmienionej pisowni oryginału, znakami pisarskimi (kropki, przecinki, pytajniki) jedynie uzupełniając.

„Szanowny Pan Ferdinant Kuraś Wielowieś.

Prośie ja pana či ja sie to u pana zasłužil azebi pan ode mnie odeset? Przęcongu 16 lat pan zemną handlował, miał pan jaki przikrości? Ci ja pana wkedi osukol w rachunku ci na waga, ci ja sie wkedi pana pital ci jest pieniendzi ci nie ma? zebi pan był chciał na 500 zlr. także bym panem zborgował; a ten śmarkać Sucher Wiesinfeld, co pan unego 2 albo 3 razi handlował jak pan odemnie odeset, to juz niema 10 ludzi w mieście zebysie on nie pital ci panem można 10 zlr. zborgować, ci pana jest na co paćžitż; i nawet Meiura Z Wielowski sie pital w tamti srodi także, ci panem mozno na 10 zlr. zborgować; mozesz sie pan Meiura zapitać ci prawda to jest. Więc ja pana prosie azeby sie pan powrucil nazot do mnie; bendzieś pan Honorowi; zawdi jest lepi u starego kupca handlować. Pan mnie zno a ja pana tyz znam, do reśty pan sie nimial o co złościć. Ostatniom razem ze nimiałem takie czewilri do śnurowania sakerskie to panem posłałem ćielęce po 160<sup>139</sup> to pan mnie mozesz zawierzić ze mnie samego kostuje po 170, takrże pana nie osukałem, tylko ze pan pacrzebowol stych tanśe, to jescie sie nieoplaci o taki bagatelo tak złościć. Ostatnim razem jak mi pan odol te pieniendzi, pan zondal dla zony pare czewiki to zaroz panem dałem w podarunek; więc nimial pan takie kziwda odemnie. Przijec pan na drugi tyzden to pan dostanie ruźni towar jaki tylko pan zechce i nie drogo; pośle po dobre butelka wina i pan sie zemno poprosi. Bendzie pan kuntet bo wsistke towari pan u mnie dostanie świze, bo byłem w drodze w tamten tyzden. Bądź pan zdrów ode mnie, pozdrawiam zone i dżeci. Abraham Izak Wiesinfeld. Dnia 25/7 1906”.

List ten przecież, pomimo tak przekonywujących argumentów, spodziewanego rezultatu jego autorowi nie przyniósł.

Na tym miejscu wspomnieć mi wypada nieco o braciach, których w toku opowiadania pominąłem. Młodszy, Władysław, ukończywszy szkołę ludową w Tarnobrzegu, udał

<sup>138</sup> *podejrzować* (daw.) — dziś popr. *podejrzewać*. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *po 160* — 1 reński 60 ct. = 3 koronom 20 halerzy. [przypis autorski]

się do Dublan, gdzie w niższej szkole rolniczej naukę pobierał<sup>140</sup>. Franciszek zaś, powołany w swoim czasie do służby w austriackim wojsku, dostał się do Wiednia, gdzie po wysłużeniu lat wojskowych otrzymał stałe, podrzędne zajęcie przy kolei. Zamierzając nadal w Wiedniu pozostać, doniósł nam pewnego dnia, że się tam ożenić postanowił. Daremnymi były moje perswazje i przedstawienia, by wrócił między swoich i tu żonę sobie wybrał; uparł się i zamiar swój przeprowadził.

## IX

*Spod własnego pióra. Prawdziwi przyjaciele. Pomoc. Z. Jalbrzykowski. Julia Bobrzyna. Próba wybrnięcia z kłopotliwego położenia. Śmierć ojca. Do Kołomyi. Nazad do domu. Komitet. W teatrze lwowskim. 500-lecie Grunwaldu w Krakowie.*

Chociaż warunki mojej egzystencji z każdym niemal dniem trudniejszymi były, nie zmieniłem trybu życia, oddając się w wolnych chwilach rozrywce książkowej, a dając przy tym upust cisnącym się do głowy myślom, przelewałem je na świstki papieru, które następnie w postaci wierszyków przysyłałem redakcjom pism ludowych. Wiersze te, aczkolwiek mizerne, zwróciły na siebie uwagę przede wszystkim dlatego, że chłopskie kreśliło je pióro, i to w tym czasie, kiedy pracą na niwie<sup>141</sup> uświadomienia mas ludowych zajęło się wszystko, co było najlepszego i najszlachetniejszego w narodzie.

Za wpływem i staraniem młodego Jana Słomki, jednego z najruchliwszych wówczas działaczy oświatowych w Tarnobrzescu, w roku 1905 ukazały się moje wiersze w osobnym zbiorku pt. *Spod chłopskiej strzechy*, wydane nakładem „Wydawnictwa groszowego im. Tadeusza Kościuszki” w Krakowie, poprzedzone słowem wstępnym Kaspra Wojnara, znanego zasłużonego pracownika na polu narodowym.

Zbiorek ten zainteresował ówczesne ruchliwe Koło TSL<sup>142</sup> młodzieży akademickiej we Lwowie. Szczególnie Hieronim Wierzyński, sekretarz zarządu tegoż Koła, darzył mnie wielkimi względami i korespondując ze mną, wybadywał koleje mego życia.

Wiadomo, że człowiek ustawicznie z niedostatkiem walczący dużo przyjaciół nie ma, co też trafnie określa w cztero wiersz ujęte przysłowie:

„Gdy pieniędzy wiele,  
Wkoło przyjaciele;  
Gdy pusto w kieszeni,  
I psa nie ma w sieni”.

Toteż i ja dużo tych przyjaciół nie miałem. Ale jeżeli opuszczonemu przez najbliższych człowiekowi otworzy swe serce i poda przyjazną dłoń ktoś ze stojących ponad wszelkimi uprzedzeniami ludzi, tym bardziej, jeżeli ten ktoś zajmuje górne szczeble drabiny społecznej, wtedy zacna taka dusza starczy biedakowi za całe legiony powszednich przyjaciół.

Takim opiekuńczym, podtrzymującym mnie w równowadze duchem był mi odtąd obok Jana Słomki i Józefa Fiedlera (Józefa znad Sanu) Hieronim Wierzyński. Pisując do mnie, zachęcał do wytrwania, dodawał ducha, wskazywał, na jakich autorach winienem opierać dalsze swoje samokształcenie; dalej odczuwając moje materialne niedomagania, zamieszczał w jednym z dzienników lwowskich („Słowie Polskim”) odezwę z apelem do społeczeństwa o udzielenie mi pomocy; przedstawił w końcu moje położenie młodzieży akademickiej zgrupowanej we wspomnianym już lwowskim Kole TSL, wskutek czego z łona tejże młodzieży wyszła inicjatywa urządzenia w Samborze w dniu 6 maja 1906 r. przedstawienia amatorskiego, z którego czysty dochód, w kwocie blisko dwieście koron, pocztą mi nadesłano.

<sup>140</sup>do Dublan, gdzie w niższej szkole rolniczej naukę pobierał — w polskiej szkole rolniczej założonej w 1856 w Dublanach koło Lwowa; od 1878 była to prowadzona przez galicyjski Wydział Krajowy trzyletnia Krajowa Szkoła Rolnicza (ob. Lwowski Narodowy Uniwersytet Rolniczy). [przypis edytorski]

<sup>141</sup>niwa — pole, ziemia uprawna; tu przen.: dziedziina. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>TSL, skrót od: *Towarzystwo Szkoły Ludowej* — organizacja oświatowa działająca w latach 1891–1940 na terenie Galicji, a następnie w pld. i wsch. części II Rzeczypospolitej, mająca na celu pomaganie gminom w zakładaniu szkół ludowych, czytelni i wypożyczalni wiejskich; powstała z inicjatywy Adama Asnyka, który był jej pierwszym prezesem. [przypis edytorski]

Ta serdeczna opieka ludzi dalekich, ale sercem bliskich wsparła mnie nie tylko materialnie, ale i moralnie, dodała mi sił w zmaganiu z garbatym losem.

Niejednokrotnie zdarzało się, że przypadkowi podróżni i wycieczkowicze, znalazłszy się w bliskości miejsca mego zamieszkania, przerywali swą podróż i kierowali się do Wielowsi prosto do mnie, gwoli osobistego poznania, nie szczędząc mi gorących słów zachęty do wytrwania w dalszej pracy. Największą wszakże radość sprawiały mi odwiedziny chłopów, szczególnie z kresów wschodnich.

Pewnego letniego dnia zawitał do mnie włościanin z Samborskiego, nazwiskiem Antoni Brzostowski, wysłany przez komitet budowy polskiego kościoła na kwestę. Rozpiąwszy ubranie, wydobyl Brzostowski zza pazuchy jakiś starannie owinięty płaski przedmiot, a odwinąwszy go, pokazał mi dobrze już zatłuszczone i pozszywane moje dziełko *Spod chłopskiej strzechy*, które zawsze, wychodząc z domu, z sobą zabierał, chowając na piersiach jak poświęcany szkaplerz. Kochany ten brat-wieśniak w te do mnie przemówił słowa: „Pragnąłem tak was widzieć raz w życiu, jak przystąpić przed Wielkanocą do Stołu Pańskiego... Kiedy czytam wasze piosenki, tak mi to ducha rozgrzewa, jakbym miał ogień w piersiach”...

Nieśmiertelny twórca *Pana Tadeusza*, wyrażając jedno z swych najgorętszych pragnień, streszczające się w słowach:

„O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,  
Żeby te księgi zblądziły pod strzechy”<sup>143</sup>

niezawodnie byłby mnie, mizerakowi, sukcesu tego pozazdrościł, gdyby żył.

Poza tym nie brakło mi zachęty listownej ze stron dalszych, a wiele takich listów zaopatrzonych było zbiorowymi podpisami.

Uznań tych nie przytaczam dla próżnej chwalby — Boże od tego mnie chroń! — bo wszelkim samochwalstwem brzydzę się, ale podaję je jako przykład, że każdy, najbiedniejszy nawet człowiek, może, gdy zechce, stać się potężnym członkiem społeczeństwa i zyskać ogólny szacunek.

To zwrócenie na mnie uwagi szerszych kół zawdzięczam moim wierszom, a przynosiły mi one także i inne niespodzianki, jak następujący szczegół: W końcu grudnia 1905 r. przyniosła mi poczta list z datą „Kraków, 27 grudnia 1905 r.”, pisany przez nieznanego mi Z. Jałbrzykowskiego. Szanowny autor listu prosił mnie, ażebym mu zrobił jedną parę płytkich, sukiennych pantofli podług odrysowanej na odwrotnej stronie listu miary stopy, zaznaczając, że równocześnie przekazem pocztowym wysłał pod moim adresem kwotę 20 koron tytułem należności za pantofle. Pieniądze wszakże z powodu mylnego podania poczty nadeszły z opóźnieniem, ale tym razem już w podwojonej kwocie, tj. 40 koron. Materiał na jedną parę takich pantofli kosztował wówczas około 4 korony; skoro więc pan Jałbrzykowski zapowiedzianą, a z powodu mylnego adresu zwróconą kwotę podwoił, tak też i ja zamiast jednej zrobiłem i posłałem mu dwie pary pantofli, co widno musiało szanownego filantropa skonfundować, bo nie dając mi się prześcignąć w odmierzaniu miarek, nadesłał mi jeszcze 20 koron.

Kim był ów p. Jałbrzykowski, dowiedziałem się później — ale już, niestety, po jego śmierci — kiedy w jednej z sal Zarządu Głównego TSL w Krakowie pokazano mi jego portret, zawieszony obok portretu szlachetnej wieśniaczki, Julii Bobrzyny ze wsi Prus<sup>144</sup> pod Lwowem.

Na to zaszczytne wyróżnienie zasłużyła sobie Julia Bobrzyna nie mniej zaszczytnym czynem, który oby był jak najwięcej zyskał naśladowców! Oto widząc, że istniejące we wsi stowarzyszenia, jak czytelnia, kasa spółkowa, teatr włościański, straż pożarna, nie mają się gdzie pomieścić, a starsi i młodzież nie mając punktu zbornego, wysiadują po karczmach, chcąc złemu zaradzić, cały swój grunt, wartości dwóch tysięcy koron, zapisała Bobrzyna pod budowę domu ludowego we wsi Prusach.

Sam tylko zapał nie dokaże cudów, jeżeli zdrowia i sił braknie. Wycieńczony do ostateczności pracą bez wytchnienia, tak się zmizerowałem, wybladłem, że ludzie mieli mnie

<sup>143</sup> *O gdybym kiedyś dożył tej pociechy, Żeby te księgi zblądziły pod strzechy* — Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz, Epilog*, w. 109-110. [przypis edytorski]

<sup>144</sup> *Prusy* — ob. Jampol, wieś w Ukrainie, ok. 8 km na wsch. od Lwowa. [przypis edytorski]

już za suchotnika<sup>145</sup>. Przeświadczony w końcu, że w dotychczasowych warunkach długo nie wytrzymam, przeciągana bowiem struna wysiłków mogłaby pęknąć, jąłem przemyśliwać nad osiągnięciem innego, odpowiedniejszego sposobu bytowania! Najbardziej uśmiechała mi się praca na własnym zagonie. Ale po wielu próbach zakupu bodaj paru morgów ziemi w dalszych stronach kraju zawsze okazało się, że suma, jaką ze sprzedaży mojej wielowiejskiej realności mógłbym uzyskać, na to nie wystarczy.

Raz w pociągu kolejowym wdało się w rozmowę ze mną dwóch inteligentnych młodzieńców. Oznajmili mi oni w końcu, że mimo głuchoty mógłbym dostać zajęcie dietariusza<sup>146</sup> w jakimkolwiek urzędzie. Uczepiwszy się tej myśli, napisałem do przyjaciela mego, Szymona Chelpińskiego w Kołomyi, z którym jak z wielu innymi zaznajomiły mnie moje wiersze, prosząc go, żeby się wystarał o zajęcie biurowe dla mnie. A skoro Chelpiński odpisał, że starał się będzie spełnić moje życzenie, nabrałem pewności w udanie się przedsięwzięcia.

W tym czasie ojciec mój, przeziębivszy się, uległ chorobie zapalenia płuc i mimo lekarskiej pomocy po kilku dniach ciężkich cierpień umarł 11 kwietnia 1907 r. w 64 roku życia.

Przy chorym prócz matki i mnie czuwały na zmianę dniem i nocą dwie miejscowe siostry dominikanki. Jedna z tych sióstr, lilia w poranku pierwszego rozkwitu, w szczytnej roli miłosiernej samarytanki posuwała się do bezprzykładnego poświęcenia. A kiedy ojciec, słabymi już ruchami zdawszy matkę opiece mojej, zasnął wieczyście na rękach mych, dobra, współczująca siostra tak serdecznie z nami płakała, jak gdyby własnego ojca utraciła. Szczęśliwi, do których w ciężkiej godzinie podobnej rozłąki przychodzą takie anioły.

Na tym miejscu przytoczyć mi wypada ciekawe, z śmiercią ojca związane szczegóły. Oto gdy już dla wszystkich widocznym było, że godziny ojca nieodwołalnie policzone, chciałem zaraz telegrafować po brata Franciszka, w Wiedniu natenczas przebywającego, lecz chory sprzeciwił się, byle Franciszka na kosztą podróży nie narażać. Mimo to wbrew woli ojca natychmiast po jego zmarciu zatelegrafowałem. Brat przyjechał, a po pogrzebie opowiadał nam, że właśnie w tę samą noc i w tę samą godzinę, kiedy ojciec umierał, żona jego zbudzona została niezrozumiałym w mieszkaniu łoskotem, gdy wszyscy w całym domu spali. Rano wyraziła wobec Franciszka obawę, że w rodzinie jego stać się musiało nieszczęście. I nie zawiodło ją. Dodać jeszcze wypada, iż w momencie śmierci ojca stanął wiszący na ścianie, niezatrzymywany przez nikogo kieszonkowy zegarek, jakkolwiek dobry był i nakręcony. Także sam wypadek z zegarkiem zaszedł u nas w kwietniu 1901 r. w chwilę skonań naszej, niespełna dwie wiosenki liczącej córeczki. Dawniej w wielu miejscach zauważyłem zwyczaj umyślnego zatrzymywania zegarów w chwilach czyjejś śmierci w domu. Musi to mieć niezawodnie pewien związek z przytoczonymi, niepojętymi wypadkami zatrzymania się zegarków.

W kilka dni po ojca pogrzebie wyjechałem do Kołomyi<sup>147</sup>. Przez parę pierwszych dni byłem gościem kochanego Szymona, nadzwyczaj serdecznie podejmowany. Wkrótce dano mi tymczasowe zajęcie w redakcji „Gońca Pokuckiego”, tygodniowego lokalnego pisma. Lokal tegoż tygodnika mieścił się przy ul. Kraszewskiego, w domu Stanisława Gruszeckiego, cieszącego się ogromną popularnością, tak w mieście, jak i w okolicy, obywatela. Pokój był obszerny, jasny i w nim też umieszczono dla mnie łóżko, osłonięte parawanem. Tu donoszono mi regularnie obfity a wykwintny wikt ze stołu szanownego właściciela domu. Państwo Gruszeccy zabiegali w ogóle, by na niczym mi nie zbywało; nie zapomniano także zaopatrzyć mnie w wyborne papierosy, jedyny zbytek, bez którego obejść się nie umiem.

Do Kołomyi przyjechałem osobiście nikomu nieznanym, a przecież przyjęty i ugoszczony byłem jak stary, dobry znajomy.

<sup>145</sup>suchotnik (daw.) — człowiek chorujący na suchoty, tj. gruźlicę płuc, która w szybkim czasie doprowadzała do ciężkiego wyniszczenia i śmierci; prątka gruźlicy, wywołującego tę chorobę, odkryto w 1882, pierwszą szczepionkę na gruźlicę opracowano w 1921. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>dietariusz — urzędnik niezatrudniony etatowo, pobierający wynagrodzenie dzienne (diety). [przypis edytorski]

<sup>147</sup>Kołomyja — miasto w pld.-zach. Ukrainie, nad rzeką Prut. [przypis edytorski]

W parę tygodni później dzięki moralnemu poparciu miejscowej inteligencji z TSL, w szczególności wspomnianego Stanisława Gruszeckiego i dr. Tadeusza Milewskiego, starszego lekarza powiatowego i zasłużonego prezesa kołomyjskiego Koła TSL, dostałem posadę dietariusza w kołomyjskim starostwie, którego kierownikiem był wówczas Ferdynand Pawlikowski, człowiek na równi z innymi bardzo mi życzliwy. Stancję z wiktem wynająłem u państwa Piskozubów przy ulicy Smolki.

Na posadzie tej dobrze mi było; manipulacja kancelaryjna, jakkolwiek wówczas całym dla mnie nowa, szła mi łatwo, a przełożeni byli ze mnie zadowoleni.

Przywykły do ciągłej pracy, doznawałem nudów, skoro na dłuższą chwilę roboty mi brakło. Toteż najbliżsi koledzy biurowi wyzyskiwali tę moją ochotę, podsuwając mi do przepisywania zaległe „kawałki” ze swych biurek. Ale zauważył to sekretarz Klecan i zburczał mnie słowami: „Nie pracuj pan za drugich! Pan jesteś ojcem; praca pańska nawet w połowie będzie jeszcze najwydatniejszą”.

Grono kolegów z różnych biur spędzało wieczory z reguły w „handelkach”, dokąd ja uczęszczać ani nie mogłem, ani nie chciałem, toteż nieraz porządnie mi się przykrzyło. Chcąc się rozerwać, brałem udział czy to w obchodach rocznic narodowych, czy też w zbiorowych wycieczkach do okolicznych wiosek na uroczyste otwarcie czytelni, urządzonych przez zawsze czynne kołomyjskie Koło TSL, albo też z przyjacielem Chełpińskim chodziłem za miasto w zielone pola i nad urocze brzegi Prutu. Rodzajna to, bogata i piękna ta kołomyjska ziemia — Pokucie<sup>148</sup> — pełna historycznych wspomnień z różnych epok, jak Obertyn<sup>149</sup>, pamiętny zwycięstwem hetmana Jana z Tarnowa nad Wołoszą 1531 r. z epoki jagiellońskiej.

W Kołomyi zaobserwowałem większy rozmach w pracy społecznej tamtejszej najszej inteligencji, a wynikiem pracy tej jest znaczne uświadomienie ludu polskiego na wsi i śmiało rzec mogę, że chłop polski na kresach wschodniej Małopolski dużo więcej posiada świadomości narodowej niż chłop w zachodniej Małopolsce. Ruska ludność swym rodzimym, częstokroć malowniczym strojem dodatnie robi wrażenie; nie znać na niej wpływu tego pruskiego kultu, który wśród ludności czysto polskich, przeludnionych okolic tak straszliwe poczynił spustoszenie.

Wydatki na osobiste utrzymanie w Kołomyi miałem tak wielkie, że chcąc pozostałej w domu rodzinie coś ze swego zarobku posłać, musiałem sobie odmawiać najtańszych nawet przyjemności. Poza tym ustawicznie trapił mnie niepokój o upadającą na siłach, owdowiałą matkę, której beze mnie ciężko żyć było. Sprowadzać zaś rodzinę do Kołomyi nie uważałem za stosowne tak ze względu na niedomagającą matkę, jak i ze względu na żonę, która będąc wychowywana w zapadłej wsi, nie umiałaby się zżyć z większym miastem. Postanowiłem ostatecznie wracać do domu. Zgłosiłem więc na ręce starosty rezygnację z posady i mimo przedstawień i tłumaczeń tak z jego strony, jako też ze strony dr. Milewskiego, by nie odchodzić, podziękowałem szlachetnym ludziom za podaną mi w potrzebie dłoń pomocną i w lutym 1908 r., żegnany łzami dobrej mojej gospodyni, Marii Piskozubowej, wyjechałem do domu.

W kwietniu wspomnianego wyżej roku przyjechał do Wielowsi poseł Wojciech Wiącek<sup>150</sup> w towarzystwie kilku wybitniejszych działaczy z Dzikowa i Machowa i zwołał zgromadzenie do kancelarii gminnej. Sądziłem, że jest to zwykłe poselskie sprawozdanie. Jakież jednak było moje zdumienie, skoro po odjeździe gości dowiedziałem się, iż zawiązali oni tymczasowy komitet celem wdrożenia akcji nad sprawą polepszenia doli Kurasia... Jakóż wkrótce ukonstytuował się ściślejszy komitet, wydał odezwę i przystąpił do zbierania składek.

W tym czasie przystąpić miałem do stawiania nowej chałupy, na którą, powróciwszy z Kołomyi, zakupiłem i zwiózłem już drzewo. Ożywiony jednak nadzieją korzystniejszej zmiany położenia, zarzuciłem ten zamiar; nie mogąc zaś w dotychczasowej ciasnej, drob-

<sup>148</sup>Pokucie — kraina hist. nad górnym Prutem, na terenie ob. pld.-zach. Ukrainy; jej nazwa pochodzi od miasta Kut. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>bitwa pod Obertynem (22 sierpnia 1531) — stoczona w pobliżu wioski Obertyn w pld.-zach. Ukrainie pomiędzy wojskami polskimi pod dowództwem hetmana wielkiego koronnego Jana Amora Tarnowskiego a armią moldawską, na której czele stał władca Mołdawii Piotr Raresz; zakończona zwycięstwem Polaków, zdecydowała o zakończeniu konfliktu o Pokucie. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>Wiącek, Wojciech (1869–1944) — działacz i publicysta ludowy, wójt Machowa, poseł do austriackiej Rady Państwa, senator RP. [przypis edytorski]

nymi dziećmi zapełnionej chałupinie warstata szewskiego na nowo rozkładać, przyjąłem zaofiarowaną mi przez tarnobrzesci Wydział Rady Powiatowej posadę pomocnika kancelaryjnego w przeświadczeniu, że w więzach tejże służby przetrzymam najkrytyczniejszy czas, po czym już samodzielnie pracować będę na własnym zagonie.

W lecie 1909 r. przypadała 25 rocznica śmierci Wł. L. Anczyca<sup>151</sup>, którą to rocznicę związany w tym celu komitet uczcić postanowił uroczystym obchodem w Krakowie i we Lwowie. Na obchód do Lwowa zaproszono i mnie.

Przyjechawszy do Lwowa, zapytałem dr. Gargasa, prezesa Zarządu Głównego Teatrów i Chórów Włościańskich i jednego z organizatorów ancycowskiego obchodu, jaką właściwie rolę na tymże obchodzie mnie przeznaczyli, na co dr Gargas krótko odpowiedział: „Ze sceny teatru pokłoni się pan publiczności”. — „Bójcie się Boga!” — krzyknąłem niemal ze strachem. — Ja tego nie lubię... nie chcę... widowiska z siebie robił nie będę... — ale dr. Gargas gadać sobie nie dał.

Uroczystość obchodu rozpoczęła się wysłuchaniem mszy św. w katedrze, po czym uczestnicy przy dźwiękach muzyki włościańskiej z Komarna i Chłopów udali się przed teatr. W pochodzie za muzyką postępowali górale z Zakopanego, członkowie chóru z Prus, członkowie Teatru Włościańskiego ze Świrza, Szkoła Gospodarstwa Domowego dla dziewcząt z Piętrzyca, włościanie ze Zboisk, Malechowa, Sokolnik, Podhorzec, Chlebowic Świrskich, Tuczego itd. Po wysłuchaniu okolicznościowych przemówień udali się uczestnicy do szkoły Mickiewicza, gdzie komitet obchodu przyjął ich śniadaniem.

W południe udaliśmy się do teatru. Towarzyszący mi p. Marceł Gajewski zajął obok mnie fotel. Zagrała najpierw orkiestra z Komarna i Chłopów, po czym jeden z włościan ze Świrza oddeklamował mój wiersz, w hołdzie Ancycowi napisany. Gdy tylko umilkły oklaski, powstał p. Gajewski i mnie pociągał, bym także wstał. Ale ja, bojąc się, by mnie stosownie do zapowiedzi dr. Gargasa na scenę nie zaprowadził, oparłem się. Nagle stało się coś, na co drgnąłem, a oczy mgłą mi zaszyły. Oto publiczność, zwrócona w stronę, gdzie przy mnie stał p. Gajewski, zawzięcie klaskać zaczęła. Musiałem wstać i ukłonem za urządzoną a niezasłużoną owacją podziękować. Siadłszy z powrotem, oczu podnieść nie śmiałem, modląc się w skrytości ducha, żeby się ziemia pode mną rozstała...

Następnie po odśpiewaniu pieśni (między którymi były ponoś i moje) przez chór z Prus, złożony z 20 dziewcząt i 19 włościan, drużyna włościańska ze Świrza odegrała *Lobzowian*. Po odegraniu sztuki wstał p. Gajewski, pociągając mnie z sobą. Idziemy, kołując zakamarkami, aż wreszcie znalazłem się — koło kulis... Z tej pozycji mogłem obserwować publiczność, sam nie będąc widzianym. Na scenie tymczasem rozpoczęły się tańce górali z dziewczętami. Hej! Co to były za tańce! Patrząc na tańczące pary, od razu pozbyłem się nieśmiałości, a krew tak mi grać w żyłach poczęła, że miałem ogromną ochotę porwać w objęcia pierwszą ze stojących obok mnie dziewcząt i rzucić się z nią w to wirujące koło tańczących i szaleć, a szaleć choćby na śmierć. Ale od zamiaru tego wstrzymała mnie świadomość, że niewiele co lepiej tańczę od tancerzy ze smorgońskiej akademii<sup>152</sup>.

Potem górale, sami już, bez dziewcząt, odtńczyli „ognistego zbójnickiego”. Kto na własne oczy nie widział takiego góralskiego tańca, daremnie byłoby mu opisywać. Górale, zręcznie wywijając i podrzucając ciupagami, tańczyli ogniście, a lekkie zwinne ruchy i w kształt skrzydeł rozwiane gunie<sup>153</sup> czyniły ich podobnymi do bujających w obłokach orłów. A widownia grzmiała i grzmiała oklaskami.

Oklaskiwano też gorąco Jędrka Suleję<sup>154</sup>, podhalańskiego poetę, kiedy deklamował pieśń swoją o rodzinnych górach:

„O wy, nasze góry,

<sup>151</sup>Anczyca, Władysław Ludwik (1823–1883) — polski poeta, dramaturg, wydawca, tłumacz i działacz ludowy. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>smorgońska akademia — zartobliwe określenie sławnego w Europie ośrodka, położonego w miejscowości Smorgonie (ob. w Białorusi), w którym tresowano niedźwiedzie do wykonywania przy dźwiękach instrumentu pokracznego „tańca” na dwóch łapach. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>gunia — męskie odzienie wierzchnie górali karpaccich: płaszcz o kroju poncza z szerokimi rękawami, wykonany z grubego, spłśnionego sukna. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>Suleja, Andrzej a. Jędrzej, właśc. Tylka-Suleja (1855–1915) — podhalański pisarz ludowy, samouk, autor opowiadań i wierszy o tematyce podhalańskiej. [przypis edytorski]



Wy, wysokie skały!  
Wycie nas na łonach  
Swych wypiastowały  
I potoku szumem  
Pieśni nam śpiewały,  
Wiatrami halnymi  
Do snu kołysały”.

Na zakończenie przy spuszczonej kurtynie ustawiano na scenie grupami tych uczestników, którzy występami swymi tak rozentuzjzmowali publiczność. Mnie mimo wypraszania się wysunięto na środek pierwszego rzędu. Korzystając atoli z rozgorączkowania grupujących nas osób, począłem nieznacznie cofać się w tył, aż wcisnąłem się między ustawioną grupę tak, że z widowni nie mogłem być widziany. Już, już podnieść miano kurtynę, kiedy jeden z grupujących nas panów, spojrzawszy na ugrupowanych, zauważył, że mnie nie ma. Przybliżył się więc, rozsunął innych i grzecznie, ale stanowczo wyciągnął mnie i na nowo w pierwszym ustawił rzędzie.

Po teatrze udali się wykonawcy na obiad do Domu Akademickiego, mnie zaś zabrał do siebie p. Gajewski. Nadmienić wypada, że małżonka tegoż jest bliską krewną ponoś siostrzenicą jednego z najszlachetniejszych ludzi, jakich naród ruski wydał, nieodżałowanego poety Platona Kosteckiego<sup>155</sup>, autora znanej ongiś w całym kraju modlitwy:

„Wo imia Otca i Syna,  
To nasza mołytwa,  
Jako Trójca tak jedyna  
Polszcza, Ruś i Łytwa”.<sup>156</sup>

Państwo Gajewscy ugościli mnie bardzo serdecznie, nadto p. Gajewski prowadził mnie po Lwowie i pokazał sławną *Panoramę Raclawicką*<sup>157</sup> na placu powystawowym.

Hej, mocny Boże! Jakie to zbawienne skutki oświata na wsi wywiera! Byłem ci ja nieraz w teatrach krakowskich, a także i w Warszawie, nie mówiąc już o teatrach miast prowincjonalnych, ale nigdzie nie zaobserwowałem takiego entuzjazmu, takiej zrywającej się co chwila burzy oklasków, jak właśnie w lwowskim teatrze w dniu 7 czerwca 1909 r., kiedy to całe przedstawienie odegrane zostało wyłącznie siłami tych cichych pracowników na szarym zagonie.

W rok później miałem sposobność być w Krakowie na obchodzie 500. rocznicy pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem. Przeszło sto tysięcy ludzi przybyło z różnych stron Polski. Nigdy chyba jak Kraków Krakowem nie snuły się między jego murami tak mnogie rzesze, co przyszły złożyć hołd świętościom narodowym.

Obchód rozpoczął się uroczystym nabożeństwem w kościele NP Marii. Okolicznościowe kazanie wygłosił ks. biskup Bandurski, a zakończył je następującymi proroczymi słowy:

„Gdy Jagiełło ujrzał w czasie walki grunwaldzkiej, jak jedna z polskich chorągwi chwieje się i pada, zawołał: «Stać murem, nie dać się ruszyć». To hasło nasze. Stać murem, nie dać się ruszyć z ziemi, wiary, religii, mowy i z chałupy. Nie dać się ruszyć, stać murem, bo *przyjdzie odrodzenie — widzę je — jest ono blisko*”.

<sup>155</sup>Kostecki, Platon (1832–1908) — rusińsko-polski dziennikarz, pisarz, poeta związany ze Lwowem. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>*Wo imia Otca i Syna, To nasza mołytwa...* — refren wiersza Platona Kosteckiego pt. *Nasza mołytwa*, wyd. w 1861 w języku ruskim, alfabetem łacińskim. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>*Panorama Raclawicka* — wielki olejny obraz, namalowany na płótnie rozpiętym w okrąg w budynku specjalnie zbudowanej rotundy, przedstawiający panoramę wybranych epizodów bitwy pod Raclawicami (1794), stworzony w latach 1893–1894 przez zespół malarzy pod kierunkiem Jana Styki i Wojciecha Kossaka; eksponowany we Lwowie, wystawiony po raz pierwszy podczas odbywającej się tam Powszechnej Wystawy Krajowej (1894); od 1964 we Wrocławiu. [przypis edytorski]

Defilada nieprzeliczonych zastępów „sokołów”<sup>158</sup> pod grunwaldzkim pomnikiem, ofiarowanym miastu i narodowi przez mistrza Paderewskiego<sup>159</sup>, pochód z Błoń na Wawel 118 różnych grup łańcuchem prawie milowej długości, w którym to pochodzie brali udział rodacy nie tylko z wszystkich dzielnic Polski, ale i z obczyzny, z Ameryki; delegacje Węgrów z posłem Nagym na czele i delegacje wszystkich narodów słowiańskich z wyjątkiem Rusinów; banderie<sup>160</sup> konnych krakusów w malowniczych strojach, sztandary, wieńce, wreszcie wspaniała, rześista iluminacja, „wianki” na Wiśle itd., itd. wszystko to na uczestnikach obchodu wywarło głębokie, nigdy niezatarte wrażenie.

Patrzącemu na te tysiączne rzesze narodu, postępujące w jednym zwartym szeregu, dusza na skrzydłach nadziei niosła się w błękity.

O, zjednoczenie narodu wspaniale!  
Już dusza marzy o wyzwolin wióśnie,  
Widzę już, Polsko, bliską twoją chwałę,  
Aż serce rośnie.

## X

*Dar narodowy. Na Kongresie Eucharystycznym w Wiedniu. Mirosławianki w Krakowie. Na Kalwarię Zebrzydowską. Wycieczka do Warszawy. Wybuch wielkiej wojny.*

Członkowie wydziału wykonawczego „Komitetu dla sprawy F. Kurasia”, o którym na swoim miejscu wspomniałem, zamierzając przystąpić do zrealizowania swych przedsięwzięć, zwrócili się do mnie z zapytaniem, gdzie życzyłbym sobie osiąść. Hr. Zdzisław Tarnowski równając kompleksy swych pól, skrawki ich, wrzynające się klinami w grunta włościańskie, sprzedawał każdemu, kto się zgłosił. Taki skrawek, powierzchni coś czterech mórg, trafił się w Wielowski w miejscu wygodnym, obok wsi, przy samym bitym trakcie, z otwartym widokiem na Sandomierz, wyraziłem więc życzenie posiadania tego kawałka. Ale życzenie to nie dało się spełnić. Komitet zakupił kawałek ziemi, powierzchni 1 i 1/8 morga, w Dzikowie. Na plac ten zwieziono tarty materiał drzewny z Rudnika nad Sanem, ofiarowany przez hr. Stanisława Tarnowskiego, i pewną ilość za resztę gotówki zakupionej cegły, którą zaraz użyto na podmurówkę pod zręby.

W swoim czasie gromadzić się poczęły na horyzoncie politycznym nadciągające z Półwyspu Bałkańskiego chmury, grożące powikłaniami dyplomatycznymi na kontynencie Europy. Cała uwaga tak państw, jak i poszczególnych ludów obracała się dokoła osi owej bałkańskiej polityki. Mimo więc wysiłków komitetu, a w szczególności jego sekretarza, Zygmunta Kolasieńskiego, całą duszą tej sprawie oddanego, pełnego szlachetnych porywów młodzieńca oraz skarbnika Ludwika Kuryłły, jednego z najzacniejszych ludzi, z którym bliższą znajomością skojarzony byłem, jak niemniej sędziwego dzikowskiego wójta Jana Słomki i mecenasa dr. Antoniego Surowieckiego, napływ składek osłabł, a wreszcie ustał.

Rozstrojony niepewnością, zmuszony poniewierać się codzienną uciążliwą wędrówką z Wielowski do oddalonego 10 km Tarnobrzega, gdzie w biurze Wydziału Powiatowego pracowałem, bojąc się wreszcie, by poskładany na zakupionym w Dzikowie placu, wystawiony na działania atmosferyczne materiał nie zmarniał, za poradą dobrych ludzi sprzedałem swoją realność w Wielowski jako też szczupłe wiano żony i z pomocą uzyskanej tą drogą gotówki przystąpiłem do zakupna budulca i innych potrzebnych materiałów, a w końcu do stawiania domu i obórki.

Plac ten w Dzikowie teren miał niski, glebę ciężką, podglebie ilaste, nieprzepuszczalne. Stąd to za najmniejszym nawet deszczem tworzyło się na powierzchni lepkie, czarne, do mazi podobne błoto, że ani krokiem stąpić; w słotnej zaś jesieni, a jeszcze więcej na

<sup>158</sup> „Sokol” — organizacja gimnastyczna o programie patriotycznym, funkcjonująca w Polsce od końca XIX w. [przypis edytorski]

<sup>159</sup> Paderewski, Ignacy Jan (1860–1941) — polski pianista, kompozytor, działacz niepodległościowy i polityk. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> banderia — konny oddział eskorty honorowej biorący udział w niektórych uroczystościach. [przypis edytorski]

wiosnę, kiedy śniegi stopnieją, przejść tak bagnistym podwórkiem było nie sposób, a już prostą niemożliwością ładownym wozem przejechać.

Już w jesieni piwniczkę pod domem załała podskórna woda, sięgająca równo powierzchni ziemi; nie lepiej też było w obórce. Musiałem więc z nadejściem wiosny piwniczkę, dom dokoła, a wreszcie i część ogrodu zdrenować, w obórce dać betonowe podłogi, a na podwórze nawieźć paręset fur piasku...

Konieczne te roboty pociągały tak wielkie wydatki, że najniezbędniejsze do codziennego użytku rzeczy przez dłuższy czas zmuszony byłem brać na kredyt i zadłużać się.

Na jesieni 1912 r. zagroda była gotowa, a w dniu 1 września tegoż roku odbyło się uroczyste „oddanie Kurasiowi daru narodowego”.

Odtąd miałem zdobywać środki na utrzymanie tak własne, jako też matki-staruszki, żony i pięciorga drobnych dzieci najnieproduktywniejszą, podcinającą siły duchowe pracą wśród czterech martwych ścian turmy<sup>161</sup>, zwanej kancelarią Wydziału Powiatowego.

Komiteta, w którym zasiadali najlepiej życzący mi ludzie, ożywiony był jak najlepszymi zamiarami i tylko nieszczególna koniunktura nie dozwoliła zapoczątkowanego dzieła dokończyć tak, jak pragnął. Przyjmując atoli dobrą chęć za rzecz dokonaną, serdecznie wszystkim za niezasłużone uznanie i odznaczenie na tym miejscu dziękuję. Dziękuję również i tym, którzy mnie przy biurku pierwszego powiatowego urzędu autonomicznego posadzili.

Ale trzymajcie ptaka w klatce, nie szcędźcie mu nawet wszelkich wygód, ptak ten wszelako ustawicznie w więzieniu tym trzepotał się będzie, a nie usiedzi w spokoju, dlatego że jest ptakiem, nie żabą. Po roku, czy nawet później, otwórzcie klatkę, a zobaczycie, jak ptaszek z radosnym świergotem na świat boży wyleci. Będzie<sup>162</sup> go wabić do powrotu cukrem czy serem, ale ptak zwabić się już do klatki nie da i wolej<sup>163</sup> mu będzie na swobodzie zginąć, niż w więzieniu marny wieść żywot.

Na koniec września tegoż 1912 roku zapowiedziany był wielki Kongres Eucharystyczny w Wiedniu. Dzięki hr. Zdzisławowi Tarnowskiemu kilku nas z tarnobrzemeskiego pojechało na tenże Kongres. Był między nami i głośny autor *Pamiętników włościanina*, sędziwy wójt Słomka z Dzikowa. Matkę, pragnącą brata Franciszka zobaczyć, zabrałem z sobą.

Na dworcu w Wiedniu oczekiwał nas brat. Ja z matką i trzech towarzyszy podróży udaliśmy się z bratem do jego mieszkania. Wójta Słomkę zabrał do siebie ktoś z jego znajomych.

U brata zauważyłem, że życie jego w Wiedniu nie musiało być tak wesołe, jak je nam opisywał. Od roboty przychodził czarny jak Murzyn. Brud z siebie usuwał w ten sposób, że zrzuciwszy bieliznę, nachylony nad dużą, napełnioną wodą miednicą, ciało dobrze namydlił, brał ostrą szczotkę, jakiej do mycia podłóg używają, i tą szczotką niemilosiernie się szorował. Żonę ma Czeskę, a dzieci ich nie znają prawie ani słowa z mowy ojczystej. Wszyscy posługują się między sobą niemiecką. Radziłem bratu, by dzieci posyłał do polskiej szkoły, na co odrzekł, że takiej nie ma. Pouczyłem go, że istnieje w Wiedniu „Dom Polski” i Towarzystwo Szkoły Ludowej, utrzymujące nie tylko szkołę, ale i ochronkę<sup>164</sup> dla dzieci ubogich rodzin polskich. Ale Franek tłumaczyć się począł, że do szkoły tej daleko, że pieniędzy nie ma itd., aż widząc w końcu bezskuteczność moich przedstawień, dałem spokój.

W Wiedniu, który ma być ponoś jednym z najładniejszych miast w Europie, widziałem na tym Kongresie przedstawicieli niemal wszystkich katolickich narodów. Ale obco tu polskiej duszy. Bardzo ładne jest Schönbrunn<sup>165</sup> i ciekawy ogród zoologiczny. Najbardziej wszakże zajęło moją ciekawość cesarskie muzeum, w szczególności przebogate galerie obrazów pędzli najsławniejszych mistrzów świata. Między tymi obrazami widziałem i podziwiałem dzieło naszego Matejki *Rejtan*, niestety, zawieszony w jednym z pośledniejszych miejsc.

Przy końcu uroczystości kongresowych w towarzystwie Jana Kaczaka z Dąbrowicy pojechałem zębatą koleją na pełną drogich sercu polskiemu wspomnień górę Kahlen-

<sup>161</sup>turma (daw.) — więzienie. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>będzie — skrót od: będzie ci. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>wolej (daw.) — raczej; lepiej. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>ochronka (daw.) — zakład dobroczynny zajmujący się opieką nad sierotami i ubogimi dziećmi. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>Schönbrunn — pałac wraz z parkiem w Wiedniu, powstały na przełomie XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

berg, z której w dniu 12 września 1683 r. wielki nasz wojownik, król Jan Trzeci, uderzył ze swym rycerstwem na nieprzeliczone, zagrażające zniszczeniem całych Niemiec, wojska tureckie i rozgromił je. Za to ocalenie od zupełnego zniszczenia wdzięczni Niemiaszkowie w dziewięćdziesiąt lat później na spółkę z Prusami i Moskwą odplacili się nam rozkawałkowaniem i grabieżą naszej Ojczyzny,

Wracając z Wiednia, obaj z Kaczakiem zawadziliśmy o Kraków. W Domu Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego przy ulicy Radziwiłłowskiej p. Józef Okołowicz przedstawił nam pokazną gromadkę hoźych dziewcząt ze szkoły gospodyń wiejskich w Mirosławicach<sup>166</sup> koło Żychlina, ziemi warszawskiej. Bawiły na wycieczce. Z Krakowa wybierały się do Zakopanego. Dziewczęta te malowniczym swym rodzimym ubiorem bardzo dodatnie sprawiały wrażenie.

Ich główki chustkami krasnymi nakryte,  
Koszulki, fartuszki haftami wyszyte,  
Korale u szyi, gorsecik stan spina,  
A każda jak róża, a wiotka jak trzcina...

Na każdej strój własnej, misternej roboty  
I bije blask od nich, ten jakiś blask złoty,  
I zdrowiem nadobne tryskają twarzyczki,  
Że niczym hrabianki, że niczym księżniczki!

Podczas mej służby w Wydziale Rady Powiatowej udzielano mi od czasu do czasu, z reguły raz do roku, w porze letniej, krótkie urlopy gwoli wytchnienia po forsownej pracy i wzmocnienia sił. Wyczasów tych używałem zazwyczaj na wycieczki do niedalekich stron celem ożywienia ducha.

W lecie 1913 r. wybrałem się do Krakowa. W Bochni przysiadł się do mnie młody kolega Robert Rydz. Na dworcu w Krakowie oczekiwał nas kolega Jantek z Bugaja wraz ze swoją Magdusią i pięcioletnią córeczką Zosią. W teatrze wielkim zapowiedziana była wtedy jedna z najpopularniejszych sztuk narodowych: *Kościuszkę pod Raclawicami*<sup>167</sup> Wł. L. Anczyca. Z przedstawień teatralnych korzyść mogę odnieść o tyle, o ile grana sztuka jest mi znana. Ponieważ treść *Kościuszki pod Raclawicami* znałem, poszliśmy wszyscy do teatru. I kto by odgadł, że ja, ani słówka z całego tego przedstawienia niesłyszący, przy odgrywaniu poszczególnych ról, jak dwu starych konfederatów: Nicefora i Onufrego, w oczach miałem łzy od serdecznego śmiechu, przy roli zaś Jana lirnika kapąły mi łzy rozrzewnienia, skoro uprzytomniłem sobie deklamowane przezeń opowiadanie:

„Maszeruje polskie wojsko prosto od wiatraku,  
Czerwienią się chłopskie czapki, jakby nasiał maku.  
Jedzie, jedzie nasz Kościuszkę, konik pod nim siwy,  
Co naczelnik, to naczelnik, to już nasz, prawdziwy!  
A lud za nim z przyśpiewaniem, jak za matką pszczoły,  
Dziarski, hoży ludek Boży, krakowski wesoly...”

Mała Zosia ciekawie całe przedstawienie obserwowała, klaszcząc drobnymi rączkami.

Po rozstaniu się z Robertem i przenocowaniu w Krakowie Jantek, wracając do Paszówki, zabrał mnie do swego domu, serdecznie ugaszczając. Objawilem ochotę zwiedzenia niezbyt odległej Kalwarii Zebrzydowskiej<sup>168</sup>, a kochany Jantek z całą gotowością postanowił mi towarzyszyć i za przewodnika służyć. Jakoż rankiem następnego dnia pieszo udaliśmy się w drogę. Okolica śliczna. Mijaliśmy urocze wzgórza z ruinami zamku

<sup>166</sup>Mirosławice — ob. część wsi Mateuszew w woj. łódzkim, w pow. kutnowskim; w Mirosławicach w 1906 z inicjatywy kobiet ze Zjednoczonego Koła Ziemianek powstała szkoła gospodarzo-rolna dla córek chłopskich. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*Kościuszkę pod Raclawicami* — popularny dramat patriotyczny Władysława Ludwika Anczyca z 1880, przez wiele lat grany na scenach teatralnych Krakowa. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>Kalwaria Zebrzydowska — miasto w Małopolsce, ok. 30 km na płd.-zach. od Krakowa, miejsce kultury pasyjnego i maryjnego, ośrodek ruchu pielgrzymkowego. [przypis edytorski]

Zebrzydowskich, zburzonego przez konfederatów barskich. Lubię stare ruiny. Miałem wielką ochotę zwiedzić te ruiny, ale żal mi było Jantka na stratę czasu narażać, był to bowiem czas sianożęci. Po zwiedzeniu świętej Kalwarii, odprowadzony do najbliższej stacji kolejowej, pożegnawszy się z przyjacielem, wyjechałem do domu, uwożąc miłe wrażenia.

W tymże 1913 roku opuściło ten padół dwóch najbardziej przyjaznych mi ludzi: Ludwik Kuryłło i Zygmunt Kolasiński. Po odejściu znacznych tych dusz samotność swą odczułem głęboko.

W lecie, 21 lipca 1914 r. wybraliśmy się z Janem Słomką młodszym na wycieczkę do Warszawy, w której przedtem nigdy nie byłem, a pragnąłem ją choć raz w życiu zobaczyć. W Sandomierzu, siadłszy na parostatek popłynęliśmy w dół Wisły. Podróż Wisłą na przestrzeni Sandomierz–Puławy nie ma sobie nic równie pięknego i przyjemnego. Płynąc i obserwując brzegi tej kochanej naszej rzeki, uprzytomniłem sobie wszystko to, co Jakub Bojko w książce swej *Pod trzeciego króla* tak ślicznie opisał, a przenosząc się myślą w dawne, współczesne Klonowiczowi<sup>169</sup> flisackie czasy, imaginowałem sobie, że jestem oryłem<sup>170</sup> i do Gdańska płynę. Józefów, Solec, Janowiec, a przede wszystkim Kazimierz echami przeszłości swej głębokie wywierają wrażenia.

Wysiadłszy w Puławach, zwiedziliśmy wspaniałą dawną rezydencję książąt Czartoryskich, dziś na instytut rolniczo-leśny obróconą. Widok stąd na Wisłę cudowny. Świątynia Sybilli<sup>171</sup> i inne osobliwe domki, oszpecone, na pastwę największego zaniedbania oddane, że patrzącemu na nie żal serce ściska. Park przepyszny, ogromny także w zaniedbaniu. Lip tak olbrzymich jak w Puławach nie zdarzyło mi się jeszcze oglądać.

Z Puław już koleją pojechaliśmy prosto do Warszawy. Przyjął nas bardzo życzliwie p. Stanisław Rutkowski, redaktor „Zorzy”.

W Dolinie Szwajcarskiej<sup>172</sup> miałem sposobność podziwiać drużynę orkiestry Namysłowskiego w przepięknych strojach ludowych. Siedząca obok mnie pani Rutkowska, dzielając mój zachwyt, wyraziła żal, że piękny ten strój coraz bardziej idzie w zapomnienie i tylko od parady gdzieśgdzie bywa noszony.

Po zwiedzeniu głównych osobliwości stolicy pojechaliśmy do niezbyt odległego Pszczelina<sup>173</sup>, skąd po zwiedzeniu szkoły rolniczej dla synów włościańskich wróciliśmy do Warszawy,

Był późny wieczór 26 lipca. Stojąc w oknie trzeciego piętra jednego z hoteli, zwrócony w stronę Cytadeli<sup>174</sup>, obserwowałem ukazujące się w mrocznej dali czerwone wiechy płomieni. Nagle z płomieni tych wystrzelił ku niebu ogromny słup ognia i równocześnie potężny huk odrzucił mnie od okna. Po huku tym nastąpiły dłuższą chwilę trwające detonacje. Cytadela w ogniu. Ostrzegawcza wróżba.

Dzienniki coraz pesymistyczniej oceniać poczęły sytuację zamachem sarajewskim<sup>175</sup> spowodowaną. Musieliśmy wyjazd z Warszawy przyspieszyć.

Zaraz na drugi dzień po wybuchu w Cytadeli wyjechaliśmy z Warszawy tą samą drogą. Wysiedliśmy w Zawichoście i tu spotkaliśmy naszego dobrego znajomego, Michała Smołę z Winiar, siostrę jego Zofię, mirosławiankę, i brata Jana, pszczeliniaka, autora licznych artykułów, drukowanych w warszawskiej „Zorzy” i w innych pismach ludowych. Janek

<sup>169</sup>Klonowic a. Klonowicz, *Sebastian Fabian* (1545–1602) — polski poeta renesansowy, mieszczanin; tworzył po łacinie oraz po polsku; autor m.in. opisu handlu wiślanego pt. *Flis, to jest spuszczenie statków Wisłą i inszymi rzekami do niej przypadającymi* (1595). [przypis edytorski]

<sup>170</sup>orył — flisak, człowiek zajmujący się splawianiem rzeką drewna, zboża i innych towarów. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>Świątynia Sybilli — klasycystyczna budowla na planie koła wchodząca w skład zespołu pałacowo-parkowego przy pałacu Czartoryskich w Puławach, wzorowana na staroż. świątyni Westy w Tivoli koło Rzymu, zbudowana w latach 1789–1801; pierwsze polskie muzeum narodowe. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>Dolina Szwajcarska — warszawski ogród wypoczynkowo-rozrywkowy powstały w 1786, istniejący do powstania warszawskiego. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>Pszczelin — pierwsza w zaborze rosyjskim szkoła rolnicza, otwarta w 1900 przez Warszawskie Towarzystwo Pszczelniczo-Ogrodnicze (stąd nazwa placówki i gospodarstwa), położona na Mazowszu, ok. 25 km od centrum Warszawy; placówka działała przez ponad 100 lat, pod koniec istnienia jako Zespół Szkół Rolniczych; w 2005 szkołą zlikwidowano, w 2015 budynki szkolne zburzono, na terenie szkoły powstało nowe osiedle miasta Brwinów. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>Cytadela — twierdza warszawska, w której mieścili się koszary i więzienie polityczne (X Pawilon) w czasach zaboru rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>zamach w Sarajewie — zamach na następcę tronu austro-węgierskiego, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żonę Zofię, dokonany 8 czerwca 1914 przez bośniackiego Serba Gavrila Principa, członka serbskiej organizacji nacjonalistycznej; doprowadził do wybuchu I wojny światowej. [przypis edytorski]

zabrał nas na wóz do domu ojca swego w Winiarach, gdzie sympatyczna mirosławianka zajęła się naszym ugoszczeniem.

Winiary to bardzo ładna wieś. Tutaj to we dworze Targowskiego znakomity nasz pisarz Władysław St. Reymont<sup>176</sup> pisał swoje, niemające równego sobie w polskiej literaturze, dzieło *Chłopi*, w którym okazał tak wielką znajomość duszy chłopskiej, jak nikt przed nim.

Po krótkim wypoczynku i pogadance poczciwy pszczeliniak odwiedził nas do Sandomierza, skąd przepawiliśmy się na drugi brzeg Wisły, do Nadbrzezia.

Wyjeżdżając do Warszawy, zostawiliśmy wesołą, pełną życia okolicę, a teraz po paru dniach jakże się tu wszystko zmieniło! Jakaś wisząca w powietrzu burza przygnębiła umysły, osłabiła zwykły codzienny ruch życia. Gęsto porozlepiane płachty plakatów urzędowych wzywały pod broń, do świadczeń na rzecz armii itd. Kolejne zarekwirowane zostały wyłącznie dla potrzeb wojska, musieliśmy wynajętym wózkiem jechać do domu, gdzie witano nas jak powracających nie z tego świata.

Naładowane elektrycznością chmury europejskiej polityki nareszcie w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku syknęły z swych nieprzeniknionych, czarnych wnętrz gromami wielkiej wojny! A ludzie o duszy słabej, lękliwej jedni umknęli już to pod skrzydła Wiednia, już też gdzie się dało, dokąd pioruny wojny nie sięgały, inni zaś popadli w rozpacz i apatię.

Tylko ludzie o sercu mężnym, pełni wiary w sprawiedliwość dziejową, z otuchą patrzyli w przyszłość, za poetą powtarzając:

„Wierzmy, Panie, o! wierzmy mocno,  
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,  
Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,  
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,  
Że nam na niebie już świta zaranie,  
Wierzmy, Panie!

.....

Wierzmy, Panie, że synowie pychy  
Siłni są złością, ale słabi w duchu,  
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,  
Że ich tu jeszcze upniesz na łańcuchu,  
Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie,  
Wierzmy, Panie!

Wierzmy Panie, że w czas niedaleki  
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,  
A wszystkie ludy przez wieki i wieki  
Poglądać na nas będą jak na słońce,  
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,  
Wierzmy, Panie!<sup>177</sup>

<sup>176</sup>Reymont, Władysław Stanisław (1867–1925) — przedstawiciel realizmu i naturalizmu, prozaik, nowelista; w 1924 nagrodzony literacką Nagrodą Nobla za powieść *Chłopi* (1902–1909). [przypis edytorski]

<sup>177</sup>Wierzmy, Panie, o! wierzmy mocno... — Kornel Ujejski, *Akt wiary*, z tomu *Skargi Jeremiego*. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kuras-przez-ciernie-zywota/>

Tekst opracowany na podstawie: Ferdynand Kuraś, *Przez ciernie żywota* z przedmową Stefana Żeromskiego, nakł. Księgarnia A. Gmachowskiego, Częstochowa 1925.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Wolne Lektury z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki Publicznej im. Stanisława Staszica w Dzielnicy Bielany m. st. Warszawy, Wypożyczalnia nr 15.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7022-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.